№ 43. Warszawa, dnia 16 (28) Maja 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

WCZASY WARSZAWSKIE.

VIII. INDYWIDUALIZM.

Zdarza się słyszeć i czytać, jakoby w naszych czasach t. j. w XIX wieku poruszono na raz tyle spraw rozmaitych, tyle wątpliwości, tyle pytań, jak nigdy przedtém nie bywało. W istocie poruszono ich wiele; wszakże mylą się ci, co sądzą, że dawniejsze czasy nie miały swoich wątpliwości i pytań, że one ich nie tak samo roznamiętniały jak dzisiejszych ludzi, i że im także się nie zdawało, jakoby współcześnie odbywał się w życiu ludów i w dziejach myśli ludzkiéj jakiś przewrót niesłychany, nowy porządek rzeczy, jak mówi poeta, *novus ordo saeculorum*. Dla tego tylko, że nie możemy stanąć od razu wśród ówczesnego pokolenia i ledwie wyobraźnią przywołujemy sobie na pamięć zapasy wojenne, społeczne i myślowe, zdaje nam się, że świat się chwieje w swoich podstawach. Jeżeli zaś jest jaka różnica między dawnemi a nowemi zapasami, to możnaby ją w tém upatrywać, iż niegdyś były one więcéj teoretyczne, dzisiaj więcéj praktyczne. Dawniéj więcéj się spierano o pojęcia metafizyczne i religijne, dzisiaj o płacę i pracę; dawniéj o świat zaziemski, dzisiaj o miejsce przy zwyczajnym stole ziemskim. Lecz ta różnica nie może być ściśle przeprowadzona i tylko z zastrzeżeniem dałaby się utrzymać. Dawniéj miano nominalizm i realizm, dziś zmienność lub niezmienność rodzajów; dawniéj miano patrycyuszów rzymskich i średniowiecznych miejskich z jednéj strony a z drugiéj plebejuszów, dzisiaj pracodawców i robotników żądających zmniejszenia pracy i podwyższenia płacy. Każdy wiek miał nad czém myśleć, nasz nie jest wyjątkiem. Otóż w naszych czasach podniosła się myśl indywidualizmu, obudziła się dążność do samodzielności i samoistności w każdym nieco myślącym człowieku, tak silnie, że sprawę tę można zaliczyć do charakterystycznych znamion naszego wieku.

Z pomiędzy zastanawiających się nad tym społecznym objawem, jedni ze wstrętem i oburzeniem widzą w nim pierwiastek burzący, rozkładający i grożący rozbiciem społeczeństwa na jednostki niezależne, niby atomy fizyko-chemiczne; drudzy witają go jako zapowiedź nowéj ery. Zobaczmy tedy bliżéj, na czém indywidualizm polega i ile jest słuszności w tych obawach lub nadziejach.

Indywidualizm, jak powiedziano, jest dążnością do zapewnienia człowiekowi jak największéj samoistności i samodzielności. Jeżeli zaś jest on taką dążnością, to już samo przez się wyłącza wszelkie tamy i przeszkody stawiane jednostce w drodze do osiągnięcia téj samoistności. Innemi słowy, indywidualizm nagli człowieka do żądania, by mógł swobodnie rozwijać wszystkie swoje zdolności, by mu nic i nikt nie przeszkadzał do osiągnięcia téj ilości szczęścia, jaką mógłby zdobyć. Oczywiście taka swoboda o tyle tylko może być przez społeczność, a bliżéj przez prawo dozwolona, o ile nie zaczepia swobody drugich. Indywidualizm też zgadza się na to, by inni szli z nim na wyścigi—ale przy równych warunkach.

W czémby znów taka dążność była różna od stosunków dawnego społeczeństwa, to łatwo można zrozumieć, zestawiając ją z objawami tegoż społeczeństwa. I tak, dawny człowiek był pochłonięty przez państwo, gminę, cech, przez różnego rodzaju powagi; myślał i działał jak państwo, gmina, cech. Żył przez nie i w nich, swój byt poświęcał dla ich bytu, w ich świetności widział swoją świetność, słowem ginął niby kropla, by morze nie wyschło. Był tresowany, a wiadomo, że tresowanie odbywa się zawsze pod ochmistrzami. Nie można zaprzeczyć, żeby nie było wyjątków — ale te były nieliczne i łatwo przez cech lub gminę za swój indywidualizm surowiéj lub łagodniéj karane. Otóż to co dawniéj zdarzało się rzadko i w śmielszych budziło uwielbienie, w naszych czasach stało się hasłem myśli i czynu, t. j. że każdy chce być sobą u siebie, panem w swoim domu i panem swojéj myśli. Nie nastąpiło to jeszcze wszędzie, ani ogarnęło nawet większości myślących; lecz jest w powietrzu, jak to mówią. Nim to do rzeszy przejdzie, może jeszcze poczekać trzeba; jednak już i w rzeszy zaczyna się budzić indywidualizm pod postacią pragnienia dobrobytu materyalnego.

Z tego krótkiego zestawienia dążności dawnego człowieka i dzisiejszego można widzieć, że jest między nimi różnica. Chodzi teraz o to, czy różnica i zmiana w zapatrywaniu się na byt indywidualny korzystnie lub niekorzystnie oddziaływa i czy warta jest potępienia lub uznania? Dla lepszego ocenienia, rozpatrzmy się w szczegółach. Szukać ich należy w społeczeństwie i dziejach umysłu.

W społeczeństwie indywidualizm przejawia się w stosunkach ekonomicznych, rodzinnych i samych jednostkach. Jeżeli bowiem poznoszono niewolnictwo, pańszczyznę i różne ciężary uznane za krzywdę obciążonych a niesłuszny przywiléj udarowanych — tedy robiono to w téj myśli, żeby człowieka uczynić swobodniejszym, pracę jego produkcyjniejszą, ruch jego mniéj skrępowanym, t. j. przyznano prawa jego indywidualizmowi. Działania tego nikt dzisiaj otwarcie nie

nazwie fałszywém lub zgubném; owszem uważa się je za olbrzymi krok na drodze postępu, i słusznie. Co to bowiem za barbarzyństwo, żeby rzemieślnik mógł tam tylko osiąść, gdzie mu cech pozwoli, taką tylko brać płacę za swoją robotę, jaką cech uchwalił, i wtenczas dopiero praktykę rozpoczynać, gdy go cech wykwalifikuje! Albo co to za stan rzeczy, gdy rolnik był przykuty do ziemi, sprzedawany jako dodatek do niéj, sądzony według widzi mi się właściciela, wyłączony prawem od nauki!

Tak więc zniesienie tych wszystkich więzów krępujących zdolności, pracę i ruch człowieka, było wielkim krokiem ku indywidualizmowi. Gdyby kto pod kategoryę „społeczeństwo" podciągnął i państwo jako mniejszy krąg bytu społecznego i rozważył co się na tém polu stało i jaka różnica zaszła w zapatrywaniu się na ten rodzaj bytu,—przekonałby się, że i tu nowsze czasy dążą do indywidualizmu. Widzimy bowiem w starożytności a nawet i w średnich wiekach ogromne niby państwa sklecone z najrozmaitszych plemion, żyjących zgodnie lub mniéj zgodnie, jednak w ogóle dość spokojnie pod berłem jakiegoś Cyrusa lub Karola W. Tymczasem nowsze wieki budzą w tych plemionach myśl odrębności, i z tych gromad chwilowo, przypadkiem połączonych, wyosabiają się narody już pilnujące zazdrośnie téj odrębności t. j. indywidualizmu. Wszędzie z bezładnego ogółu, chaosu, wydobywają się szczegóły i przez to nadają nowy bieg rzeczom i nową charakterystykę dziejom.

W mniejszém kole społecznéṁ, jakie stanowią gminy, kantony lub stany, odpowiednio do organizacyi politycznéj, i gdzie państwo nie szuka celu w sobie, ale w dobru obywateli, widać również ten indywidualizm, tę swobodę działania i ten rozum dojrzały, który nie zrywa zupełnie z całością.

W jeszcze mniejszém kole społeczném, t. j. w rodzinie, widzimy także w nowszych czasach dążenie do indywidualizmu. Prawa ojca nad dziećmi i żoną ograniczono, prawo rozporządzania majątkiem także, a przez to ojciec, matka i dzieci stali się jednostkami swobodniejszemi, uznano ich indywidualizm, t. j. prawo do osobnego bytu, zwłaszcza po pewnym czasie (pełnoletniość dzieci) lub w pewnych okolicznościach (np. separacya w małżeństwie). Z przytoczonych wzmianek widocznem jest, że indywidualizm przemógł na polu społeczném, czyli mówiąc językiem spekulacyjnéj szkoły, że szczegóły rozbiły ogół i przekonały go, że nie one dla niego, ale on dla nich istnieje. To samo zjawisko spostrzeżemy i w dziejach umysłu ludzkiego, t. j. na polu umysłowém.

Jeżeli pod tym względem cofniemy się w przeszłość, przekonamy się, iż powaga górowała nad jednostką, i że człowiek dopiero wtenczas pewnym siebie przemawiał językiem, gdy na poparcie swojego zdania lub całéj teoryi miał za sobą Arystotelesa, Platona, Galena, Ptolemeusza lub choćby Berozosa i Sanchoniatana. Gdyby mu nawet przyszło gwałt zadać swojemu i zasadniejszemu zdaniu, jak tylko ono nie było w zgodzie z uznaną powagą, nie odważył się z niém wystąpić, by nie obrazić powagi. Ztąd to po książkach i rozprawach przytaczano całe wyjątki z uznanych powag, z pośród których trudno było dojrzeć zdania samego piszącego. Że takie wyrzeczenie się osobistego myślenia na rzecz powagi było tamą dla postępu umysłu ludzkiego, temu trudno zaprzeczyć.

Czasy nowsze wywiodły na plac osobiste, indywidualne zdania i teorye. Dzisiaj umysł badacza ledwie dla historycznego związku napomyka co w téj lub innéj sprawie sądziły przedwiekowe powagi, a zresztą puszcza się własną drogą i własne uzasadnia pomysły. Równocześnie z tym zwrotem przyszła śmiałość słowa i dbanie o myśl swoją, by jéj zapewnić uznanie za pomocą jak najlepszych argumentów dostarczonych przez doświadczenie i rozmyślanie, nie zaś przez Cyceronów. To nazywam indywidualizmem na polu umysłowém. Mały przykład rzecz tę wyjaśni. Jeżeli podziwiamy dzisiaj jakiego Faradaya, Hershla, Liebiga, Milla lub Spencera, Śniadeckiego lub Supińskiego, czyliż dla tego podziwiamy, że powtarzali co Ptolemeusz, Paracelsus lub Arystoteles w tych samych sprawach, które ich zajmowały, powiedział? Nie, dla tego właśnie ich podziwiamy, że co innego powiedzieli, że mieli swoje zdanie, że umieli je uzasadnić za pomocą dowodów, które tamtym do głowy nieprzychodziły. Ten ich indywidualizm podoba nam się, gdyż widzimy, że nowych dróg szukali i znaleźli. Wieczne powtarzanie za pozytywką nie jest znów tak godne człowieka jak myślą ci, co się oburzają, że ktoś ma swoje zdanie i z nimi razem nie śpiewa.

Tak więc zdaje mi się, iż niezaprzeczonym faktem jest ten indywidualizm będący i dążnością, i cechą nowszych a szczególniéj ostatnich czasów. Ale nie wszystkim on się podoba, i dla tego widzą w nim rozkładający i niszczący pierwiastek. Mówią, że indywidualizm na polu społeczném prowadzi do rozbicia społeczeństwa na jednostki, niby na atomy niezwiązane z sobą niczém. Zarzut niesłuszny, albowiem obok dążenia do rozwinięcia wszystkich zdolności indywidualnych bez zaczepiania takiejże dążności w innych jednostkach, a więc obok dążenia do wyosobnienia, panuje równocześnie równie silna dążność do stowarzyszenia. Społeczeństwo więc nie potrzebuje się obawiać rozbicia na atomy, albowiem te atomy będą łączyły jak już i łączą węzły naturalne, nie sztuczne, a zatém dla jednostek zostanie dość swobody do wyrabiania zdolności i osiągnięcia takiéj ilości dobrobytu, na jaką siły ich wystarczą.

Nareszcie pytam się, jestże w tém coś zgubnego, gdy człowiek pragnie zdobyć sobie niezależne od lada wiatru stanowisko w społeczeństwie? gdy pragnie, by mu się nie mieszano w jego sprawy, o ile te nie naruszają praw istniejących i zasad obyczajowych? Owszem, takich ludzi należałoby jak najwięcéj pragnąć, bo oni to są, że tak powiem, kołkami w płocie. I czego znów brakuje naszemu społeczeństwu, to takich ludzi. Bytu niezależnego wielu pragnie, rozumie, że od niego zawisła i na nim polega wszelka niezawisłość myślenia i działania, a nareszcie cały charakter człowieka. Ale mało jest takich, coby *silnie* tego pragnęli i zdolni byli poświęcić chwilową przyjemność dla dłuższéj i trwalszéj przyjemności. Słowem jeszcze u nas mało tego, co się nazywa indywidualizmem na polu społecznem; a tylko z takiém poczuciem i z taką wolą ludzi można liczyć jako cyfry oznaczone we wszelkich kombinacyach, gdy się roztrząsa stan jakiegoś społeczeństwa.

I znowuż, jestże wadą, gdy na polu umysłowém każda jednostka chce być sobą, t. j. mieć swoje zdanie, swoje widzenie rzeczy, nie koniecznie takie jak mają Pawły i Gawły? Czém wybitnie odznaczają się myśliciele Zachodu? Tém niezawodnie, że mają swoje zdanie, które umieją uzasadnić; tém że ich indywidualizm piętnuje ich dzieła, że nie przepisują jedni drugich i powagą się nie zasłaniają. Każdy z tych, których jako znakomitszych znamy, nowém światłem obrzucił tę lub inną sprawę społeczną lub problemat naukowy; każdy wypowiedział tyle myśli zdrowych, często głębokich i wielkich, że śmiało do klassycznych zaliczyć je można. To jest owoc indywidualizmu myślowego.

Na tym punkcie mocno kulejemy i prawie nie znamy, co jest indywidualizm myśli. Jak tylko poważy się kto mieć zdanie indywidualne, swoje, zakrakają go literaci: A czemu on tak nie myśli i nie pisze jak my? Przecież nas legion, mamy wszyscy zdrowe oczy, a nie widzimy tego, co on widzi. Czemu on ma swoje zdanie? Byłożby to wadą mieć swoje zdanie, a zaletą powtarzać cudze? Swoje, indywidualne zdanie wtenczas tylko może być mylne, gdy nie jest oparte na długiém i rozległém doświadczeniu, na przemyśleniu i odrzuceniu tego, coby nie miało podstawy w doświadczeniu. W przeciwnym razie zdanie *swoje*, jednostkowe staje się powoli powszechném i chwałą tego, co je wypowiedział.

Za tym brakiem indywidualizmu myślowego idzie brak wszelkiéj inicyatywy, szukania nowych dróg dla zdobycia bytu materyalnego, i to kopiowanie wszystkiego, aż do ubioru.

Czemu on się tak ubiera, dla czego on to jada, dla czego on tak siada, dla czego on tak mówi? Oto powszechne pytania, jakie sobie ludzie czynią, gdy ktoś nie tak żyje i inaczéj niż oni myśli. Stempel jednakowości i nicości zdaje się być najpożądańszym dla niezmiernéj większości nawet tych co czytają, nie mówiąc nic o całéj rzeszy nieczytającéj. Indywidualizm jest tedy u nas jeszcze nowością i albo przedmiotem nienawiści, albo szyderstwa. Wartoby się nad tém zastanowić. Prassa nasza, z maleńkim wyjątkiem, nie zwraca na to uwagi, i nie cierpi, by jéj ktoś zakłócał rytm deptakowy. Wszyscy się kopiujemy. Warto mieć swoje zdanie i umieć go bronić; indywidualizm i w życiu i w literaturze mógłby wiele dobrego zrobić. *Krupiński.*

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 42*).

— Ciekawy jestem co to będzie mruczał przez zapiekłe wargi.

Była jednak jedna strona, prawie wzniosła w tém ponurém naprężeniu cierpienia. Gustaw nie marzył. Brał życie jakie było, nie zaś jakie być mogło. Mimo opłakanego stanu zdrowia, umiał pracować i pracował więcéj niż kiedykolwiek. Żeby przyszedłszy od wdowy zasiąść do pracy, trzeba było nielada siły—takie zwycięztwa odnosił nad sobą codziennie. Zebrał około siebie kilka zdolniejszych głów, i jakby w przeciwstanieniu de zebrań Wasilkiewicza, utworzył kółko pracujące wyłącznie naukowo. On i dwaj inni pisali grammatykę języków łotyskich... on mimo ciągłych kłótni ze współpracownikami, stał naczele téj pracy, a co ukradł cierpieniu, to jéj poświęcał. Helenę widywał codziennie.

V.

Nic nie mogło być drażliwszego nad stosunek Szwarca do Gustawa.

Ci dwaj ludzie mieszkali razem.

Nareszcie, pewnego dnia, Gustaw wróciwszy

od wdowy, zastał rzeczy Szwarca popakowane, on sam zajęty był układaniem książek i bielizny.

Milczeli obaj, dopóki wszystko nie było gotowe—nakoniec Szwarc ozwał się:

— Gustawie, bądź zdrów! Wyprowadzam się.

Gustaw podał mu rękę nie rzekłszy ani słowa Rozstali się zimno.

Po drodze spotkał Szwarca Wasilkiewicz.

— Ho cóżto? pytał.—Przenosisz się?

Szwarc odrzekł:

— Znasz mój stosunek do Gustawa; osądź sam, czy mogę z nim dalej mieszkać.

— Ale to widzisz nie wypadałoby opuszczać go w takim stanie jak jest dzisiaj.

— Rozumiem, ale zaręczam ci, że ja tylko mogę go drażnić. Wiesz wszystko com dla niego zrobił; nie powinienby mieć powodów niechęci... a jednak!...

Wasilkiewicz ścisnął mu rękę.

Mieszkanie Szwarca wynajęte było w dużym kilkopiętrowym domu. Składało go dwa pokoiki obszerne i widne. Prócz funduszów przywiezionych z domu, Szwarc zaraz po przyjeździe znalazł sposoby, które dozwalały mu oszczędzać ile możności kapitału. Zaczął tedy przemyśliwać o porządniejszem urządzeniu się na przyszłość i wreszcie urządził się istotnie daleko wykwintniéj. Na pierwsze wejrzenie można było w nowém mieszkaniu poznać zamożność i dostatek. Łóżko było codziennie porządnie zasłane, podłoga wymieciona, a w małym piecyku kaflowym codzień szarą godziną palił się wesoły ogień—ciepło bywało aż się dusza radowała! Zresztą cały dom był daleko porządniejszy, ba! nawet elegancki. Na pierwszém piętrze mieszkał jakiś generał z żoną i dwiema córkami brzydkiemi jak noce zimowe, na drugiém Szwarc i Francuz inżynier, od którego wynajęte były pokoiki, a na trzeciém jakiś podupadły hrabia, człek ongi podobno niezmiernie bogaty, dziś zbankrutowany—mieścił się w trzech czy czterech pokoikach z córką dorosłą — i dwiema dziewkami ukraińskiemi. Takie było sąsiedztwo Szwarca. Dało mu się ono wkrótce we znaki; bo u inżyniera dzień cały jęczał fortepian, na którym dzieci uczyły się wygrywać wszystkie kontredanse, jakie kiedykolwiek gdzie tańczono; u generała były znów ciągłe zabawy, tańce i wieczory. Tupano tam jak we młynie po całych nocach, służba uwijała się po schodach, hałasu i turkotu nie brakło. Jeden tylko hrabia zachowywał się cicho. Nic dziwnego: jako żydzi nad gruzami Jerozolimy, tak oni siedzieli tam na gruzach własnéj wielkości, rozpamiętywając ją smutno. Szwarc nie znał ich dotychczas prawie, czasem tylko szarą godziną po trzeszczeniu schodów i ciężkich krokach domyślał się, że stary hrabia prowadzi córkę na spacer—ale nie lubiąc koron ani głów utytułowanych, nie był co prawda ciekawy wyjrzeć na nich.

Raz jednak zobaczył coś co go więcéj zainteresowało. Pewnego dnia idąc do siebie, spostrzegł między pierwszém a drugiém piętrem pochylony przez poręcz jakiś biuścik z główkę wcale kształtną o błękitnych oczach i ciemnych włosach. Oczy owe, przysłonione ręką, pilnie upatrywały czegoś w półmroku sieni. Spostrzegłszy Szwarca, cofnęła się najprzód główka, za nią i torsik, a kiedy Szwarc przyśpieszył kroku chcąc bliżéj spojrzeć na panienkę, zobaczył tylko dwie małe w czarnych trzewiczkach i białych pończoszkach nóżki. Nóżki owe uciekały co tchu na górę.

Aha! więc to hrabianka! pomyślał Szwarc.

Hrabianka zaintrygowała go jednak. Sam nie wiedział dla czego szarą godziną siedzą przed ogniem, widział wyraźnie przed sobą ową parę nakrytych ręką oczu, białe czoło ujęte w pukle ciemnych włosów i nóżki w czarnych trzewikach.

W parę dni potém, kiedy późną godziną, zdmuchnąwszy świecę, kładł się w łóżko, usłyszał nagle jakiś głos śpiewający smutną włoską piosenkę. W sieni i mieszkaniu Szwarca pełno było tych tonów młodych, dźwięcznych i sympatycznych; pieszczone a namiętne zaklęcia i wyrzuty rozlewały się z dziwnym urokiem w ciszy nocnéj; słowa dochodziły wyraźnie — głos ten śpiewał:

„E tu spietato, da un'altra amato
„Dici è delirio, e non è amore
„Piange mi vadi, nè a me tu credi
„Or tu sei! tu sei barbaro che non hai cuor etc.

— A! hrabianka śpiewa! mruknął Szwarc.

Nazajutrz rano, zupełnie znów nie wiedział, dla czego przy ubieraniu się, trąc zawzięcie mydłem ręce, jakby dla dodania sobie energii śpiewał wielce patetycznie.

„Or tu sei! tu sei barbaro!

Ale wkrótce przestał o tém myśleć, zamiast hrabianki przyszła mu na myśl wdowa. „Ta kobieta albo już mnie kocha, albo kochałaby bardzo wkrótce", pomyślał sobie. Żal mu się zrobiło owych chwil, w których patrzał jéj w oczy... „Co za szczególna kobieta!" dumał.— „Jakże ją też musiał kochać ten Potkański... ha! a Gustaw!" (Szwarc zmarszczył się). „Gustaw, czy ja tam będę, czy nie zagryzie się, zatruje—zgubi go ta miłość... hm! każdy odpowiada za siebie. Ale ciekawym, co też ona mówi, że mnie nie ma?"

Odtąd często przychodziła mu na myśl ta chwila w któréj ona tak bardzo blada, z wyciągniętemi rękoma wołała do niego: „Znalazłam cię, mój Kazimierzu!"

Gdyby tylko chciał, mógłby ją odszukać, kochać i być od niéj kochanym.

Ten plan prawdopodobnéj miłości spać mu nie dawał. Jak każdy młody człowiek czuł potrzebę kochania; serce uderzało mu gwałtownie, jakby się chciało spękać rozsadzone własną siłą. A dotychczas prócz wdowy nie znał żadnéj kobiety. Przemykały mu przed oczyma czarne trzewiczki i białe pończoszki hrabianki, ale lekkie to marzenie obsuwało się w nicość. Tymczasem wspominał, jak pewnego razu w rozmowie trzymał dłoń wdowy, pamiętał jak miał ochotę pocałować tę rękę, ale pamiętał także jak złowrogo świeciły naówczas oczy Gustawa. Ogarniała go zazdrość. Czasem ledwo dostrzeżona chmurka żalu zawczesnego przyrzeczenia przemykała mu się w duszy i skrywała gdzieś w najciemniejszych jéj pieczarach. Wtedy powtarzał sobie wielce tragicznym tonem: „Przyrzekłem—nie pójdę!"

Jeszcze jedno gniewało go: ludziom szanownym a podżyłym wyda się to paradoksem—gniewał go spokój życia. Nauka przychodziła mu łatwo, trudności na drodze nie spotykał, nie zużywał sił wszystkich—i to budziło w nim niesmak. Młode a czynne natury, tak jak młodzi żołnierze, czują potrzebę wykąpać się w ogniu walki. Ta chęć walczenia, która w wieku późniejszym wydaje nam się nieprawdopodobną, w pewnych latach stanowi wcale poważnie jedną z konieczności ducha. Pamiętamy monolog Szwarca w mieszkaniu Gustawa, pierwszego zaraz dnia przyjazdu do Kijowa. Chciałby rzucić rękawicę czy to w imię nauki, czy w imię uczucia—komu?—całemu światu. Młode orlęta probują latać, mając nad sobą obłok, pod sobą codchłań. Najpospolitszy nawet człowiek, nim się spostrzeże, że jest żółwiem, ma chwile, w których zdaje mu się że jest orlęciem.

W takiéj fazie był Szwarc, a tu po prostu nie było z kim ani o co chodzić na udry.

W uniwersytecie miał mniéj więcéj współwyznawców;—pole mogło się otworzyć na szerokim świecie, ale tego szerokiego świata Szwarc nie znał jeszcze. Nagle jednak zaszło zdarzenie, które wyrwało go z odrętwiałości.

Augustynowicz przeskrobał coś w ten sposób, że to czyniło ujmę honorowi studentów.

Postanowiono go wypędzić.

Nie było to już pierwszy raz, ale zawsze jakoś sami studenci zacierali to między sobą, nie chcąc kompromitować się w obec opinii—teraz przebrała się miarka. Nie będziemy czytelnika zapoznawali z rodzajem winy, co nam po brudach! dość, że sąd złożony ze studentów stanowczo był za wydaleniem winnego ze swego grona. Od takiego wyroku nie można było apellować, bo władza uniwersytecka potwierdzała go zawsze—tak więc rozmazywało się tylko przewinienie.

Wzburzenie między studentami było wielkie; nikt nie ujmował się za Augustynowiczem, prócz Szwarca, który trzęsąc połową uniwersytetu, użył wszystkich sił, by go uratować.

— Chcecie go wypędzić? mówił na wielce burzliwém zgromadzeniu.—Chcecie go wypędzić? ale czy myślicie, że wyszedłszy z uniwersytetu, nie będzie nam robił wstydu? Co z sobą zrobi? gdzie się podzieje? Jaki znajdzie sposób do życia? z czego się utrzyma? A co do niego samego—czy wiecie dla czego upadł?—Nie!—Spytajcie go, kiedy jadł obiad? Jesteśmy między swoimi. Podnieście mu którąkolwiek nogę—prawą czy lewą—wszystko jedno: jeśli pod butami znajdziecie choć jedną całą podeszwę, to go wypędźcie. Co do mnie, twierdzę, i niech piorun tego trzaśnie, co twierdzi inaczéj, że ratować, nie gubić się powinniśmy. Dajcie mu ratunek, dajcie mu chleb—weźmy go na własną odpowiedzialność!

— Kto go bierze na własną odpowiedzialność? spytał któryś z antagonistów Szwarca.

— Ja! krzyknął grzmiącym głosem Szwarc, i cisnął czapkę na ziemię.

W izbie powstał gwar i zamieszanie. Szwarca poparł całym swym wpływem Wasilkiewicz, inni się upierali za wydaleniem—zrobił się „huczek niemały." Szwarc wskoczył na ławkę i zwracając się do Augustynowicza krzyknął:

— Przebaczają ci! Zabieraj się i chodź ze mną!

Wyszedłszy zatarł ręce z wewnętrznéj radości i zawołał:

— Szkoda było takiéj głowy! Prócz tego zjedzą dyabła, jeżeli coś teraz zrobią bezemnie!

— Szwarc! dla czego mnie ratowałeś? pytał Augustynowicz.

Szwarc zwrócił ku niemu twarz surową.

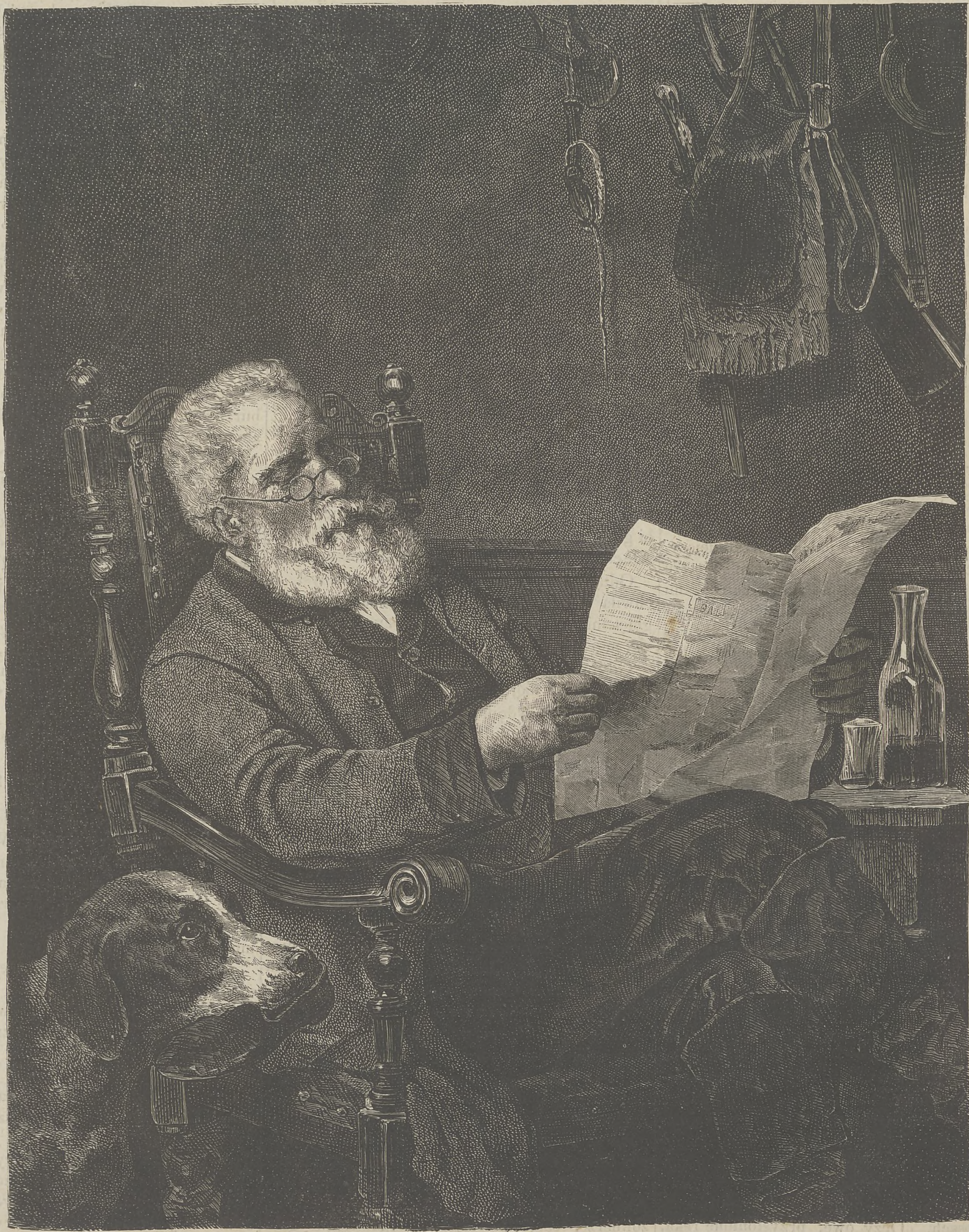
— Dziś jeszcze sprowadzisz się do mnie — rzekł.

Inny tymczasem dramat rozgrywał się w mieszkaniu Potkańskiéj. Była to szczególniejsza kobieta; nie mogła, nie umiała żyć nie uczepiwszy życia o jakieś uczucie. Pierwszy raz trafiła szczęśliwie, więc była wzorem matki i żony. W obecnéj chwili zdawało jéj się, że znalazła ratunek w Szwarcu, a tu miesiące płynęły jak go nie widziała. Pragnęła go tedy coraz usilniéj, jak coraz usilniéj opierał się temu Gustaw.

Musiało nastąpić ostateczne starcie tych wprost przeciwnych usiłowań.

— Jeśli mi go nie wrócisz, mówiła pewnego wieczoru, łzami zalana wdowa,—to ja sama pójdę go szukać. Jam gotowa klęknąć przed tobą

i na kolanach prosić cię o niego. Gustawie! mówisz, że Kazimierz prosił cię, byś miał opiekę nademną... więc zaklinam cię na imię jego... staw, a w oczach świtało mu prawie obłąkanie. Może ty pani prawdę mówisz... Więc tyś nic nie dostrzegła? niceś nie widziała?... Ja sam nie



DALEKOWIDZ.

wiem, czym kogo kochał... prócz... Boże co ja wyrzeknę!... prócz ciebie jednéj!

Rzucił się do nóg Heleny.

Nastała wielka cichość. Rzekłbyś dwoje ludzi skamieniało. Ona przegięta w tył, z rękoma na twarzy—on u nóg jéj z głową na podłodze, jakby umarły.

Trwali tak: oboje doszli do zapamiętania, ale największy ból ma chwilę, w której się przesila.

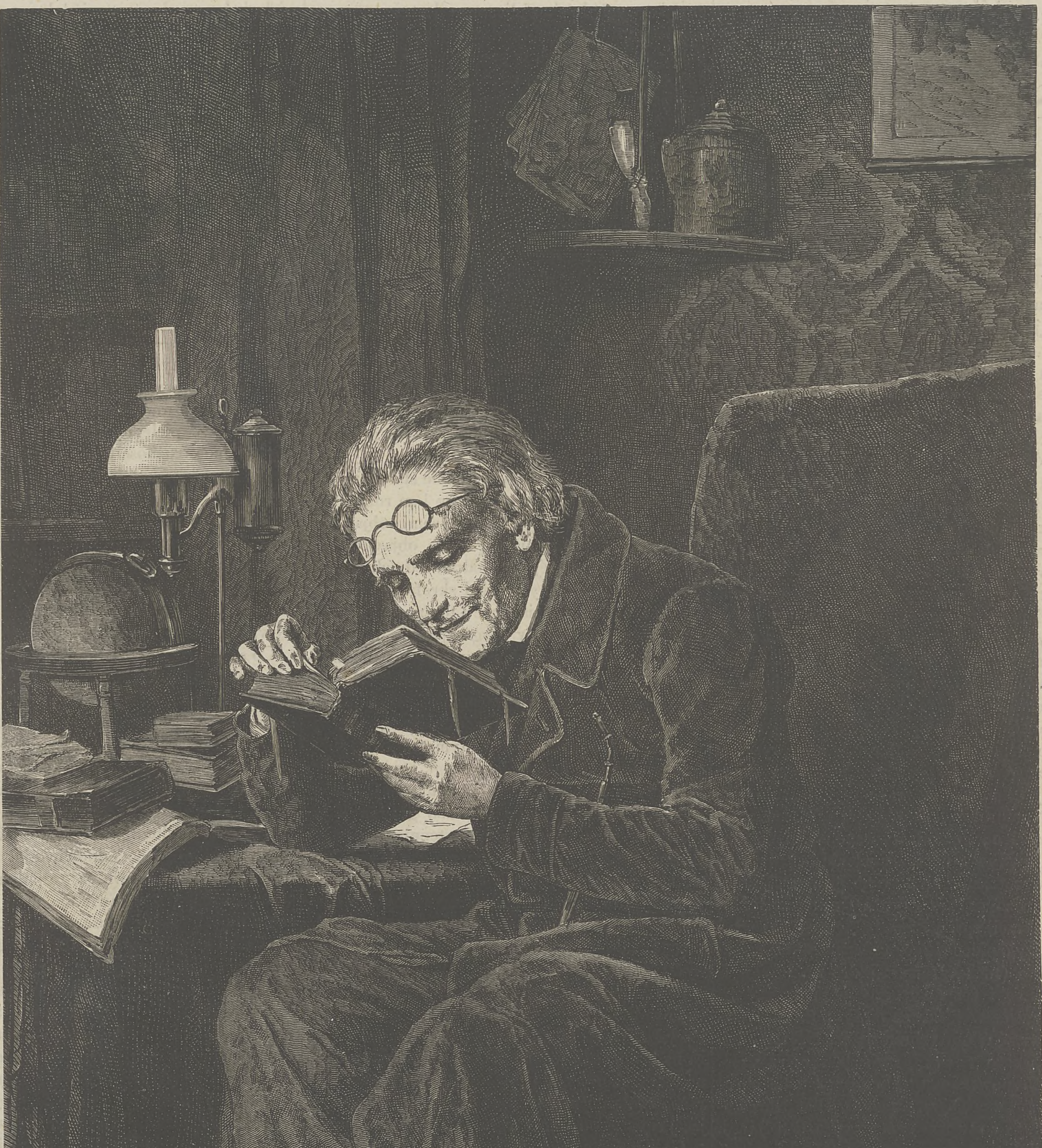
O Boże, Boże!.. Ty nie rozumiesz, że można cierpieć... tyś chyba nigdy nie kochał!

— Ja, pani?.. nigdy?.. mówił bardzo cicho Gu-

Wkrótce on powstał. Był już inny, był spokojny bardzo. Zbudził ją i począł mówić cichym, przerywanym brakiem oddechu głosem:

łem cię w kościele... ksiądz właśnie kielich podnosił, a ty się schyliłaś... Bywałem jeszcze wówczas w kościele!... potém widywałem cię częściéj,

wiedziała, żem chyba nigdy nie kochał... Widzisz, że to nieprawda... Tak trudno wyrzec się ostatniéj nadziei!... Przebacz mi... Szwarc



KRÓTKOWIDZ.

— Przebacz mi Heleno!—Nie powinienem był tego robić! ale bo widzisz, cierpiałem od tak dawna. Pierwszy raz... rok trzeci idzie, widziałem cię...

i daruj!... ja sam nie wiem jak się to stało! Potém zostałaś jego żoną—milczałem... I teraz nie chciałem cię obrazić, ani ci dokuczyć... aleś pojeszcze dziś przyjdzie do ciebie... to szlachetny człowiek—kochaj go i bądź szczęśliwa... i bądź zdrowa.

Pochylił się ku niéj, i podniosłszy brzeżek jéj sukni z błyszczącemi oczyma utkwionemi w niebo... ucałował go jakby świętość.

Za chwilę wdowa pozostała sama.

— Co on mówił? szeptała cicho — co mówił Gustaw?... Mówił, pamiętam że on przyjdzie znów do mnie. Czy ja nie marzę?... Ale nie... On przyjdzie. (*d. c. n.*)

O SKROFUŁACH.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 42*)

Opisawszy cechy wyglądu skrofulicznego, wypadałoby podać ogólny obraz chorobowy skrofułów. Natrafimy tu na jednak na trudności, albowiem objawy w rozmaity sposób łączą się z sobą, raz jedna gruppa zjawisk przeważa, drugi raz druga, u jednych pewne objawy występują u drugich inne,—a zależy to jak się zdaje od podziałania pewnych szkodliwości na pewne organy szczególniéj usposobione do zmian chorobowych pod wpływem osłabienia, wątłości tych organów. Ztąd to u jednych dzieci skrofulicznych przeważają wysypki skórne, u innych cierpienia oczne, uszne, u innych jeszcze cierpienia kości etc., ale zawsze cierpią *gruczoły limfatyczne*, co stanowi właściwość skrofułów.

Zobaczmy najprzód pokrótce jakie to cierpienia w ogóle zdarzają się u skrofulicznych. Na *skórze* występują wysypki rozmaite zwane wypryskiem i t. p., szczególniéj na twarzy i skórze głowy porosłéj włosami. *Błony śluzowe* ulegają kataralnym zapaleniom, a wydzieliny ich drażniące bardzo łatwo wywołują zajęcie skóry w otoczeniu naturalnych otworów. I tak kataralne zapalenie łącznicy oka łączy się z wypryskiem na policzkach, katar nosa z wypryskiem na wardze górnéj, wypływ z ucha z wypryskiem w okolicy ucha. Na odwrót wysypki około tych otworów naturalnych bardzo często szerzą się i wciągają błonę śluzową we współcierpienie (katar nosa, wypływ z ucha, zapalenie łącznicy oka nawet owrzodzenie błony rogowéj). Daléj występuje bardzo często nieżyt (katar) oskrzeli i kiszek; z oskrzeli sprawa zapalna może się szerzyć na pęcherzyki płucne i być punktem wyjścia zniszczenia płuc (suchoty) na téj drodze lub przez zwyrodnienie i rozpad gruczołów limfatycznych oskrzelowych. W kiszkach nieżyt powoduje nieprawidłowości w oddawaniu stolca, biegunkę lub zaparcie; może nawet przyjść do owrzodzeń. W *stawach* powstaje puchlina, zapalenie chroniczne (t. zw. guz biały), pruchnienie końców stawowych kości z utworzeniem przetok (fistuł) i t. d. W *kościach* bywa zapalenie okostnéj lub saméj kości, pruchnienie, zgorzel. Z *organów zmysłów* przedewszystkiem cierpią *oczy*, mianowicie gruczołki łojowe brzegu powiek, łącznica oczna i powiekowa, błona rogowa na któréj powstają owrzodzenia, a te po zabliźnieniu pozostawiają blizny i pomętnienia będące znakiem przebytych w dzieciństwie skrofułów. W *nosie* równie często trwa uporczywy katar wiodący nawet do owrzodzeń z wypływem cuchnącymi i drażniącym. *Ucho* bywa siedliskiem zapalenia w przewodzie zewnętrznym, z wypływem z ucha; również zdarza się groźne zapalenie ucha wewnętrznego, zniszczenie kostek słuchowych. Następstwem tych cierpień bywa często głuchota.

Gruczoły limfatyczne stają się siedliskiem uporczywego zapalenia szerzącego się na otoczenie. Silna gorączka towarzysząca i bóle oraz ropienie wyniszczają siły dziecka i podkopują odżywianie. Jeżeli gruczoły limfatyczne ulegają tylko powiększeniu, stwardnieniu, lecz nie ropieją, to gorączki i bólu nie ma, a tylko zeszpecenie, utrudnienie ruchów zgrubiałą szyją.

Obraz kliniczny skrofułów przedstawi się mniéj więcéj w taki sposób: Obok opisanych znaków wyglądu skrofulicznego dostrzegamy nabrzmiewanie gruczołów limfatycznych na szyi, karku, pod pachami, w pachwinach i t. d.; gruczoły są powiększone, twarde, przesuwalne, potém zaś jeżeli przechodzą w zapalenie zlewają się w nieregularne guzy, nieprzesuwalne, i przechodzą w ropienie, aczkolwiek nie zawsze. Niemniéj nabrzmiewają gruczoły limfat. wewnętrzne: krezkowe, brzuszne i t. p. i dają się wyczuć przez powłoki brzucha w postaci guzów. Daléj zjawiają się cierpienia błon śluzowych: katar nosa, wypływ z ucha, zapalenia ócz, nieżyt oskrzeli z kaszlem, zaflegmienie kanału pokarmowego, robaki. Złe trawienie przejawia się żarłocznością, chęcią do pokarmów trudno strawnych, lub brakiem apetytu, wzdęciem brzucha, zaparciem lub biegunką, wychudnieniem. Wreszcie zajęte zostają kości, palce nabrzmiewają kolbiasto, stawy grubieją, i przychodzi do pruchnienia i zgorzeli kości, a wtedy życie zostaje zagrożone gorączką i wyniszczeniem.

Skrofuły jakkolwiek przeważnie stanowią chorobę dzieci, jednak zazwyczaj w 1-m roku życia rzadko przejawiają się cięższemi objawami. W okresie dojrzewania większość objawów znika mniéj lub więcéj przy odpowiednich warunkach, a także opisany wygląd skrofuliczny. Rzadziéj szkodliwości działające i teraz sprowadzają pogorszenie skrofułów wygasających lub nawet wystąpienie na nowo choroby już wygasłéj; zdarzają się tu: śluzotoki, błednica, choroby skórne, suchoty. Wreszcie, jak wspomnieliśmy, niekiedy skrofuły występują u osób dorosłych, oszczędziwszy ich w wieku dziecinnym.

Przebieg skrofułów jest długi i uporczywy; peryodyczne polepszenia występują naprzemian z pogorszeniami, i albo ta sama gruppa objawów powraca na nowo, albo występują inne przypadłości. *Zejściem* bywa bardzo często wyzdrowienie w razie odpowiedniego postępowania, w którym to wypadku jako ślad przebytego cierpienia pozostają szpecące blizny na szyi i t. d., pomętnienia błony rogowéj oka i t. p. *Śmierć* bywa następstwem długotrwałych cierpień stawów i kości, rozległych zapaleń i zropień gruczołów limfatycznych obwodowych lub oskrzelowych. Wiele także dzieci skrofulicznych umiera na krup, ostrą wodną puchlinę mózgu, oraz inne ostre choroby do jakich istnieje u nich wyraźne usposobienie. O gruźlicy (suchoty) rozwijającéj się niekiedy ze skrofułów, była już mowa.

Co do postępowania w obec choroby o któréj mowa, wypadałoby w celu *zapobiegania* skrofułom wrodzonym, dziedzicznym, aby w związki małżeńskie nie wstępowały osoby skrofuliczne, gruźlicze, chorowite, stare, niemniéj aby unikać pokrewieństwa między małżonkami. Jest to jednak rzecz trudna lub niemożebna do przeprowadzenia. Skoro więc złe jest nieuniknione, potrzeba występować energicznie przynajmniéj przeciw skrofułom *nabytym*, stłumiać usposobienie wrodzone, zapobiegać rozwojowi skrofułów, i wstrzymywać ich postęp. Potrzeba tu ze strony rodziców staranności, wytrwałości, ofiar i dłuższéj konsekwencyi w postępowaniu, a przedewszystkiém znajomości hygieny i dyetetyki. Matka wychowująca swe dziecko rozsądnie i należycie, może być pewną że jeżeli nie zajdą okoliczności nadzwyczajne, niespodziewane, dziecko zdrowe nie nabędzie skrofułów lub krzywicy, że wrodzone usposobienie zniknie i choroba da się złagodzić lub wyleczyć.

Pierwszą rolę gra tu postępowanie *dyetetyczne* ze ssawcem lub w okresie odstawiania, ząbkowania, karmienia i w późniejszych latach dzieciństwa. Na drugim planie jest leczenie jakiekolwiek, które trzeba zostawić lekarzowi, albowiem inaczéj wiele dziecku zaszkodzić można trzymając się niestosownych rad osób nibyto doświadczonych. Oddanie dziecka lekarzowi w opiekę jest konieczne nie dopiero wówczas gdy w organizmie pojawią się ciężkie zaburzenia, albowiem wtedy jest już późno; przeciwnie im wcześniéj uregulowane będzie postępowanie z dzieckiem za radą lekarza, tém pewniéj spodziewać się można pomyślnego skutku zabiegów i starań, których wytrwale przez czas długi należy dokładać, albowiem skrofuły są chorobą wymagającą wiele czasu dla wyleczenia.

To co było powiedziane o przyczynach skrofułów wskazuje co mamy robić w obec téj choroby. Ponieważ—powtarzamy jeszcze raz—między innemi przyczyną skrofułów jest nierozsądne, niedbałe wychowanie fizyczne, obojętne lub nierozumne zachowanie w obec ciągłych szkodliwości, wadliwe pielęgnowanie i karmienie ssawca, błędy i nieostrożności przy i po odstawieniu od piersi, nieodpowiednie żywienie dziecka, niedopełnianie warunków niezbędnych dla należytego wyrabiania się krwi i rozwoju mięśni, zaniedbanie niedokrewności i wątłości u dziecka w nadziei że „samo przyjdzie do siebie”,—przeto trzeba usunąć te niedostatki i postawić dziecko w warunkach pomyślnych, w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu.

Co się tyczy noworodków, nie może być mowy o sztucznem ich karmieniu. Jeżeli matka nie ma dostatecznéj ilości mleka, albo gdy jest chora lub słabowita, to sama karmić bezwarunkowo nie powinna. Postarać się należy o *zdrową* mamkę. Nic nie zdoła zastąpić mleka z piersi kobiecéj, a właśnie pierwszy rok życia dziecka jest najważniejszy dla dalszego jego rozwoju. Odstawienie powinno się odbyć zwolna, a żywienie innemi pokarmami ma być odpowiednie. Wspomnianém było że szkodliwe są te pokarmy które w stosunku do ilości zawierają mało pożywnych substancyj. Publiczność wie po części o tém że dla dzieci skrofulicznych niezdrowe są pokarmy mączne, bułki, kartofle, i obwinia te pokarmy że w skutek ich spożywania skrofuły się rozwijają. Jest to tylko po części słuszne; w istocie szkodliwemi będą kartofle i chleb gdy stanowią wyłączne lub główne pożywienie dziecka. Natomiast jeżeli będą w małéj ilości zadawane *obok dostatecznéj ilości pokarmów zwierzęcych*, to nie wywierają tego szkodliwego wpływu. *Niemeyer* w tym względzie powiada, że niejedna matka spędza noc bezsennie dowiedziawszy się iż dziecko jéj ukradkiem zjadło kartofel, i że często dzieci na wpół głodne idą na spoczynek.

Należy więc dziecku skrofulicznemu dawać przeważnie pokarm zwierzęcy: mleko, rosół, mięso, jaja i t. d. Mleko dobre, świeże wśród wiosny i lata na wsi używane jest nieocenionym środkiem w skrofułach; obecna pora jest właśnie ku temu stosowna.

Drugim ważnym środkiem obok dyety odpowiedniéj jest świeże, czyste *powietrze*, gdziekolwiek go dostarczyć można, pomijając mieszkanie,—w ogrodzie (ale nie tam gdzie kurz zadusza), na wsi i t. p. Dobroczynny wpływ światła słonecznego na organizm znany jest powszechnie; należy więc go dostarczyć dziecku skrofulicznemu, a nawet w razie cierpień łącznicy ocznéj i powie-

kowéj, pomimo światłowstrętu trzeba dziecko do światła przyzwyczajać stopniowo, a nie zaciemniać pokoju zasłonami lub ócz niebieskiemi okularami; takiém postępowaniem nie tylko nie pomożemy ale przeciwnie zaszkodzimy. Daléj wiadomo z hygieny jak niezbędnym jest ruch i gimnastyka dla rozwoju mięśni i przemiany materyi w organizmie; niechaj więc dziecko ma sposobność pobiegać codziennie na świeżém powietrzu, rozumie się bez zbytecznego zmęczenia. Dla pobudzenia czynności skóry potrzebne są kąpiele ciepłe i wzmacniające, stopniowo hartujące ciało. W ogóle cały tryb dzienny powinien być uregulowany tak co do dyety jak i zajęcia. W latach kiedy dziecko uczyć się zaczyna lub w latach szkolnych, trzeba pamiętać aby ilość godzin na naukę obracanych nie była zbyt obciążającą; przedewszystkiem bowiem zbyt długie szkolne zajęcia w salach nie dopełniających warunków hygieny, przepełnionych i t. d. są szkodliwe dla dzieci skrofulicznych.

Nie będziemy dłużéj rozwodzić się nad wyliczaniem tego co się robić powinno w obec skrofułów; wiele wskazówek i rad podanych w artykule o „Niedokrewności" odnosi się i tu także. Wskazaliśmy tylko najważniejsze okoliczności na które zwrócić należy uwagę; wszystkie one wchodzą w zakres hygieny i dyetetyki których znajomość okazuje się na każdym kroku niezbędną.

W razie wystąpienia objawów ważniejszych u dzieci skrofulicznych jak: zaburzenia w trawieniu, nabrzmienia gruczołów, wysypki, wypływ z ucha, cierpienia oczne, cierpienia kości i t. d., należy dziecko oddać lekarzowi w opiekę. Tu kończy się wyłączna działalność rodziców tycząca się odpowiedniego wychowania. Jakkolwiek leczenie w skrofułach stoi na drugim planie, niemniéj jednak musi ono być należyte. Nie będziemy tu o niém mówić, bo to należy do lekarza. Wspomnimy tylko o *tranie* jako powszechnie znanym środku przeciwskrofulicznym, a często bardzo nadużywanym w publiczności przez nieznajomość. Środek tén jakkolwiek w wielu razach pomocny w skrofułach, w wielu także wypadkach, jeżeli będzie źle wybrany, nie tylko nie przyniesie pożytku, ale zaszkodzić nawet może. Tran okazuje się pomocnym tylko w kwitnącéj postaci skrofułów, przy wątłéj budowie ciała dziecka, gdy tłuszcz podskórny jest słabo rozwinięty, czynność serca nieco przyspieszona, wzmożona wrażliwość układu nerwowego pozwalają wnosić o przyspieszonéj przemianie materyi. Natomiast tran nie przyniesie żadnego pożytku w postaci otrętwiałéj skrofułów, gdy ciało dziecka grube, w tłuszcz podskórny obfite, nalane, nos i warga górna zgrubiałe, czynność serca raczéj zwolniona, wrażliwość nerwowa przytępiona, w ogóle znaki zwolnionéj przemiany materyi. W tym razie całe garnce tranu nie pomogą, ba nawet zaszkodzą. Nie należy więc bez rady lekarza dawać tranu dzieciom, skoro „wszyscy mówią że są skrofuliczne" lub „że tran pomaga w skrofułach." Oczywistą jest rzeczą iż żadnego skutku nie można się spodziewać po tranie, jeżeli szkodliwe wpływy wśród których dziecko żyje nie będą całkowicie usunięte. Zarówno wskazania co do tranu należą do oceny lekarza jako też oznaczenie ilości, konieczne dyety uregulowanie przytém, sposób używania mianowicie co do przerw, gdyż inaczéj dzieci doznają wstrętu do tego w istocie nieprzyjemnego lekarstwa, lub też psuje ono trawienie.

Też same uwagi tyczą się *kawy żołędziowéj* lub *odwaru z liści orzechowych*, które powszechnie znane jako środki przy skrofułach w użyciu będące, zadawane bywają przez publiczność dzieciom skrofulicznym bez względu czy potrzeba lub nie. I o to zapytać się należy lekarza. Podobnież wybór kąpieli leczniczych w domu używanych, wybór zakładów kąpielowych krajowych i zagranicznych, powinien być zostawiony lekarzowi. Jeżeli rodzice uczynią zadość wszystkim warunkom hygieniczno-dyetetycznym dyktowanym przez samą hygienę, jeżeli wypełnią rady osób kompetentnych, to już wyświadczą wiele dobrego swym chorym dzieciom i przyjdą w pomoc usiłowaniom lekarza. *Dr. W. Mayzel.*

GENEZIS

KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (Ob. N. 42).

Jednem z arcydzieł Menandra, zdaniem W. Guizota, miał być jego *Nieprzyjaciel Kobiet*, a zdanie to uczony francuzki uzasadnia nie bez słuszności na tem, że o komedyi téj przychylnie odzywa się nawet niechętny jemu Frynichus Arrhabius. Bohater komedyi téj, nie jest, nakształt misogyna z „Odludków", nieprzyjacielem płci pięknéj z teoryi: przeciwnie, Demyl z doświadczenia nabył téj nienawiści, gdyż jest oddawna żonatym. W skargach swych przed przyjacielem, przypisuje on żonie swéj wszystkie wady kobiece. „Kupuje ona,—powiada,—za dziesięć min pół miary pachnideł; musi mieć złociste pudełko do chowania sandałów... W domu odprawiamy nabożeństwo pięć razy przez dzień, przy każdéj objacie, siedmiu niewolników stojących w półkole grają na cymbałach, a inni tymczasem zawodzą pobożne wycia. Bogi to nadewszystko rujnują nas mężów: wciąż tylko uroczystości jedne za drugiemi. Jednem słowem, kobieta jest z natury istotą niesforną i gwałtowną,—a ja życia takiego dłużéj znieść nie mogę".—„Ej, bo też ty życie bierzesz z przeciwnéj strony,—odpowiada mu przyjaciel,—w małżeństwie upatrujesz samo złe które cię dręczy, a na korzyści zamykasz oczy. Gdzież to znaleść możesz, Demylu, choć jedno dobro do którego nie przywiązane by było jakie złe? Powiadasz, że kobieta marnotrawna jest złą? że twoja nie pozwala ci prowadzić życia jakiegoby mąż sobie życzył?... Ale ona daje mężowi wielkie szczęście... dzieci. Jeżeli zachorujesz, ona dogląda cię troskliwie; jeżeli los cię opuszcza, to pozostaje ci przynajmniéj towarzyszka; jeżeli umrzesz, ona okrywa cię prześcieradłem i grzebie uczciwie. Oto są rzeczy na które baczyć trzeba bezustannie i stawiać naprzeciw codziennych przykrości, a tym sposobem całość twéj doli wyda ci się do zniesienia łatwą. Ale jeżeli ty cały czas tylko obrachowujesz kłopoty, nie równoważąc ich korzyściami, to wiecznie będziesz narzekał". Demyl jednak nie słucha tych słów pojednawczych: nie cierpi żony i prześladuje ją. Ona traci cierpliwość i „przysięga mu na słońce że go pozwie przed sąd i oskarży o złe obejście." Nic to nie pomaga, bo Demyl w skutek ciągłego gderania popadł już w tę chorobę umysłową, która zwie się dziwactwem; stała się ona jedynem myśli jego zajęciem. Jakoż istotnie sprawa wytacza się przed sąd, a skazany lecz niepoprawiony Demyl, odzywa się zgryźliwie: „Otóż do czego to doprowadzają dwie strony zabazgrane przez pisarza, i jedna drachma pozostawiona w ręku sędziego!"—O ile po tem sklejeniu kilku ułamków pracowitą ręką i po zapełnieniu luk wnosić można, rzecz ta musiała być istotnie pełną życia i zajęcia, w każdym razie nie przestała ona być aż do dnia dzisiejszego tematem komedyi.

Nie tak prędko wyczerpalibyśmy przegląd ogólnych cech charakterów ludzkich w Menandrze, gdybyśmy mogli iśdź za wskazówkami, jakie dają tytuły i urywki zaginionych dzieł jego: ale są to już tak drobniuchne okruchy że podług nich do żadnéj przyjśdź nie można syntezy. Z powyższych jednak szczegółów dosyć, zdaje się, jasno przed umysłem występuje ten pewnik że elementa dzisiejszéj komedyi w niczem nie różnią się od elementów komedyi greckiéj ostatniego peryodu, i że komedya dzisiejsza powstała pod zupełnym wpływem tamtéj. Czujność i baczność na sprawy społeczne, kontrola obyczajów i życia, jakaś życzliwość ogarniająca ogół, żądająca wytępienia w nim wszelkich szkodliwych skłonności, zwrócenia go i utrzymania na drodze człowiekowi właściwéj, — są to widoczne przymioty i moralne dźwignie komedyopisarza, które po Grekach odziedziczył Molier i przekazał następcom. Ta missya komedyi, z rozmaitem powodzeniem i rozmaitą prowadzona wiarą, odbywa się aż dotąd: komedyopisarze stawiają się przed publicznością jako instruktorowie narodu.

Posłannictwo to w czasach starożytnych było nierównie ważniejszem jak dziś, kiedy piszący i myśliciel wszelki, jeśli nie chce, nie jest obowiązany wyszukiwać nowych dla moralności podstaw, ale poprzestać może na uwydatnianiu i popieraniu tych które istnieją, jako zasady uświęcone tradycyą, przekonaniem ogółu i zaufaniem jego do ich bezwzględnéj wartości. Komedyopisarz dzisiejszy ma przed sobą powagę i dziewiętnaście wieków doświadczenia, które krytykę jego czynią śmielszą o całe kryteryum, jeśli go on nie odrzuca i nie ma zamiaru stworzyć sobie nowego.

Ale w starożytnéj Grecyi każdy myśliciel musi dopiero wynajdywać dla siebie kryteryum; każdy moralista myśli na swój własny rachunek, bo moralność podstaw nie ma tam żadnych. Bogowie Grecyi nie mogli być i nie byli istotnie żadnym wzorem dla ludzi; toż ludzie tam przypisywali swym figlarnym bogom czyny za które sami byliby z pewnością kryminalnie karani przez prawo publiczne. A skoroć bogowie nie stanowili dla nich powagi żadnéj, więc ludzie musieli jéj szukać sami w sobie, sami ustanowić dla siebie podstawy życia, postępowania; oznaczyć granice dobrego i złego, godności ludzkiéj, obowiązków i praw;—słowem spisać cały kodeks moralności. Jakież to więc szerokie pole było dla każdego myśliciela! Ztąd też powstało takie mnóstwo szkół filozoficznych, rozmaite bowiem zapatrywania się rozmaitych umysłów, wytwarzały rozmaite punktu wyjścia do tego kodeksu i rozmaite podstawy: rozmaitość ta dochodziła aż do prostych przeciwieństw jak epikureizm i stoicyzm. Każdemu wolno było myśleć po swojemu, każdemu wybrać podstawę podług woli albo i nie zgodzić się na żadną. Był to chaos nieustannych polemik i wątpliwości, pracowite doszukiwanie się prawdy i światła, z początku z cichym podejmowane zapałem, które przeszło we wrzaskliwe kłótnie a skończyło się na zniechęceniu powszechnem. To też w takim stanie i kierunku umysłów, nic dziwnego że skwapliwie rzucono się w Grecyi do nowéj nauki, która przeszła im przez usta i pośrednictwo nawróconego prześladowcy chrześcian.

Poeci ostatniego peryodu komedyi greckiéj trafili właśnie na porę najpoważniejszego rozbioru kwestyi dotyczącéj człowieka i jego zadań na świecie. Byli oni myślicielami tak dobrze jak

filozofowie, i każdy z nich miał prawo do napisania jakiegoś rozdziału w kodeksie moralności publicznéj czy prywatnéj: pisali je też aktami i scenami, czasem zgadzając się z tekstem jakiego głośnego filozofa lub moralisty, czasem odstępując odeń w téj saméj materyi, czasem wywołując inne. Nietylko więc z artystycznéj strony powinniśmy zapatrywać się na nich, ale nie pomijać i téj która stanowi ich odrębność wśród komedyopisarzy całego świata.

Gdybyśmy przedewszystkiem dostateczny posiadali materyał do zgłębienia dzieł tych poetów a następnie wszystkie zawarte w nich myśli podła mocą tylko samego faktu istnienia a dziś używa wszelkich sofizmatów aby istnienie swe zamaskować i usprawiedliwić w obec jasnych i wyraźnych zasad przy których w żaden sposób utrzymaćby się nie mogła:—tą zbrodnią społeczną jest niewolnik. Formy niewolnictwa rozmaite są, ale ta co istniała w społeczeństwie Greckiem była jedną z najsurowszych: człowiek zwany niewolnikiem stawał się żyjącą własnością drugiego człowieka, jego rzeczą. Jeżeli takie wyobrażenie istnieć mogło do dni naszych w najukształceńszem i o najliberalniejszych formach społeczeństwie, jakiem jest Unia Amerykańska; wynikający, a gniewa się na spółczesnych sobie (Polit. I. 3. 4), którzy utrzymują że *prawo* tylko nie *natura* uczyniło różnicę pomiędzy człowiekiem wolnym i niewolnikiem.

Ktoż to jednak był co protestował przeciwko opiniom w téj mierze przez filozofów wydanym? Nikt inny tylko komedyopisarze ostatniego zwrotu, a zaszczyt pierwszeństwa w tym względzie należy Filemonowi. „Jakkolwiekbądź,—powiada on, — niewolnik ma toż samo ciało co i my. Nikogo natura nie tworzy niewolnikiem, los tylko ciało czyni zależnem."—Za jego też sprawą na innem miejscu sam już niewolnik odzywa się

OGÓLNY WIDOK PORTÓW M. ODESSY.



PORT PRAKTYCZNY.

ciągnęli pod pewną teoryę i porównali ją z teoryami współczesnych filozofów z urzędu, przekonalibyśmy się że tam dużo jest pierwiastku oryginalnego w zapatrywaniu się na pewne kwestye moralne; niektóre nawet zdania są wręcz przeciwne zdaniom najpotężniejszych głów. Okoliczność ta, z tego nawet co pozostało, występuje w sposób niezaprzeczony i świadczy o ich samodzielnem zapatrywaniu się na rzeczy ludzkie.

I tak: jest pewna wiekowa zbrodnia społeczna którą wyrodziła chciwość i przemoc, która nawzajem wyradza zaparcie człowieka w człowieku, zdeptanie praw jego na rzecz silniejszych lub podstępniejszych; zbrodnia, która dawniéj istniała nie będziemy może dziwić się temu że ono istniało dwadzieścia kilka wieków wstecz i dawniéj pośród pogańskiéj Grecyi. Zdziwienie nasze słuszniejszem być może gdy się dowiadujemy, że pojęcie to z ogółem dzielili naczelni filozofowie Grecyi i jéj reformatorowie. Platon jeszcze się waha: w urządzeniu swéj idealnéj *Republiki* nie znajduje on miejsca na niewolnictwo; ale gdy mówi o *Prawach*, teorya rozmija się z praktyką i niewolnictwo występuje jako potrzeba socyalna. Alež Arystoteles (czemuž haňby téj nie možemy oszczędzić tak wielkiemu człowiekowi) uznaje niewolnictwo nietylko jako potrzebę socyalną, ale jako stan zgodny z naturą i z niéj do pana: „O, panie mój! jak tylko raz urodził się człowiek, już on pozostaje człowiekiem, pomimo swéj niewoli." Ten sam duch, toż samo zapatrywanie się na przedmiot znajdujemy wszędzie u Menandra.

Jużciż więcéj jak pewna, że komedyopisarze ci nie zakładali sobie w przedmiocie tym zaprowadzić reformę w prawach i obyczajach swego narodu, ale przekonania swe wypowiadali mimochodem, z okazyi tylko tych obrazów życia prywatnego i rodzinnego jakie wprowadzali na scenę: przy takim zaś obrazie bez niewolnika ani podobna było się obejść. Niewolnik w składzie

Dalszy ciąg w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 43-go.

towarzystwa Greckiego była to prawa ręka, drugiéj podobnéj temu postaci ani przedtem ani potem nie znajdzie na świecie, i myliłby się bardzo ktoby niewolnika greckiego porównywał z jakimbądź innym niewolnikiem. Przede wszystkiem widać to z całych dziejów wewnętrznych Grecyi, że niewolnika stan, prócz saméj zasady, nie był tak bardzo przykrym; widać raczéj, przeciwnie, pewną patryarchalność i łagodność w obchodzeniu się z nim, która była snadź następstwem wysokiéj cywilizacyi klass wyższych: zupełnie inaczéj jak w surowym i terrorycznym Rzymie, gdzie niewolnika co chwila poddają torturze lub wieszają na krzyżu. W tłumie niewolników greckich bywali nawet filozofowie, uczeni wszelkiego rodzaju, ba nawet poeci, jak Ezop. Niewolnik od najprostszych robót ręcznych, miał sobie powierzane rozmaite nierównie ważniejsze funkcye domowe, aż do wychowywania dzieci i kształcenia ich umysłu; tak że niewolnik, przy dobrym stosunku z panem, stawał się poniekąd członkiem rodziny.

Jakżeż bez takiéj figury obejść się można było w komedyi? To też w Menandrze ukazuje się ich istna mozaika, a wszystko to są sprężyny ważne. Niewolnik tam odkrywa, śledzi i rozwiązuje nić intrygi; jest on zręczny i śmiały, a gdy mu się co przy okazyi oberwie, pociesza się w swym stoickim nastroju wybuchem śmiechu: „gdyż dobry humor, o Tibiuszu! jest podporą i pokarmem niewolnika”. Nieodzownym on jest do poprowadzenia i rozweselenia komedyi. Ma on „siedm masek”, a to jeszcze mało względnie do rol jakie wyznacza mu poeta. Jeden z nich jest oszczędnym, inny oszustem, który takie na przykład udziela nauki swym towarzyszom: „Powiedz mi, na co ci się zdała twoja głupia poczciwość? Jeżeli pozwolisz ażeby twój pan sam używał swych dóbr, a ty nic z nich nie uszczkniesz, to kradniesz samego siebie”. Są niewolnicy próżniaki, co idąc z posyłką, wystają na rynku i przysłuchują się rozmowom; są znowu zadowoleni ze swego losu i powiadają: „Daleko to lepiéj być sługą u dobrego pana, niż ubogim i uciśnionym, z tytułem wolnego człowieka”. Są wreszcie zacne dusze i wierni przyjaciele jak ten któregóśmy już mieli sposobność poznać wyżéj. Kto widzi cały ten ruch jaki komedyi greckiéj nadają niewolnicy, a nie przyzna że takie Scapiny, Frontiny, Lafleury, i t. p. są ich w prostéj linii potomstwem, ten chyba nie ma zmysłu porównawczego. (*d. c. n.*)

KORESPONDENCYE.

Wilno, w maju.

Szanowny Redaktorze,

Przebaczcie nam, że odzywamy się z uczuciem żalu nie do was, ani do nikogo, lecz tylko do krótkiéj pamięci ludzkiéj. W artykule prof. dra Girsztofta, zamieszczonym w Nr. 30 „Wieńca” z powodu jubileuszu dostojnego prezesa naszego Towarzystwa Lekarskiego profes. dra Adamowicza, z wielkiém zdziwieniem przeczytaliśmy następujące wyrazy: „Współcześni koledzy nie pojęli, jakim sposobem professor kliniki zwierzęcéj mógł być potém professorem kliniki ludzkiéj; wybór padł na innego ze szkodą dla nauki i niesławą dla instytucyi.” Dalsi od pola działalności byłéj Akademii Medyczno-Chirurgicznéj wileńskiéj, nie wiedząc nawet o kim tu mowa, mogli na słowo uwierzyć, że ciało naukowe Akademii zniesławiło siebie wyborem niesławiącéj instytucyę osoby. Dla nas jednak, cośmy byli słuchaczami lub pacyentami ś. p. prof. dra Feliksa Rymkiewicza, albowiem o nim to mowa, sąd taki wydał się bardzo dziwnym, tém dziwniejszym, że wyszedł z pod pióra osoby tak światłéj i tak pracowitéj w dziedzinie medycyny jak dr. Girsztoft. Ś. p. Rymkiewicz, wychowaniec Uniwersytetu wileńskiego, służył mu bez przerwy w chwili jego największéj świetności od r. 1821 aż do kassaty w r. 1822, najprzód jako pomocnik prefekta instytutu medycznego, następnie jako adjunkt, a w końcu jako professor terapii i fizyologii. Po zwinięciu Uniwersytetu i otwarciu Akademii, Rymkiewicz w téj ostatniéj wykładał podobnież terapię szczególną, fizyologię i encyklopedyę medyczną, aż do zamknięcia tego zakładu w roku 1848. Prócz tego był autorem wielu prac ogłaszanych w czasopismach i osobno, między innemi *Kursu patologii i terapii* w 4-ch tomach, oraz słownika medycznego łacińsko-polskiego w ogólnym szacownym *Słowniku* Bobrowskiego; był obok Śniadeckiego najwziętszym w Wilnie lekarzem praktycznym, jak u was dzisiaj Chałubiński; był wreszcie aż do zgonu naczelnym lekarzem szpitala głównego miejskiego, który dostarczał chorych do kliniki akademickiéj. Oto są tytuły, które po śmierci Jędrzeja Śniadeckiego zaszłéj w roku 1838, utorowały Rymkiewiczowi drogę do kierownictwa kliniką akademicką przed mniéj jeszcze podówczas doświadczonym i zasłużonym drem Adamowiczem. Zapytajcie mieszkającego wśród was czcigodnego rektora Mianowskiego, a opowie wam szczegółowo kto był Rymkiewicz i jaką drogą dorabiał się stanowiska. Że wybór jego na posadę kierującego kliniką nie był „niesławą” dla akademii, przyzna to zapewne sam prof. Adamowicz, skoro pospołu z Rymkiewiczem wydawał w roku 1842 *Muzeum Anatomiczne*. Przyzna nam to i sam prof. Girsztoft, który, o ile go znamy z niezmordowanéj działalności pisarskiéj, bynajmniéj nie należy do tych, co kopiąc doły około posągu swego bożyszcza, sądzą, że go wynoszą pod obłoki. Nie obwiniając nikogo, całe nieporozumienie o cześć osoby, która już bronić się nie może, tłómaczymy sobie wierszykiem Siemieńskiego: „Najkrócéj pamięć serca trwa.”

Kraków w końcu Kwietnia 1872 r.

Przy oddziale nauk moralnych w Towarzystwie Naukowém Krakowskiem (które właśnie w tych dniach przemienia się na Akademię umiejętności po zatwierdzeniu nowego statutu przez cesarza) istnieje od lat dwóch komissya historyczna, złożona z pewnéj liczby członków tak z łona Towarzystwa Naukowego jako też i z po za jego obrębu powołanych. Komissya ta wzięła sobie za cel wydawnictwo materyałów do historyi polskiéj, jako to: dyplomatów, annalów i kronik, relacyj poselskich, pamiętników, dyaryuszów sejmowych i t. p.—o ile powiedzie jéj się odszukać po bibliotekach i archiwach tak krajowych jak i zagranicznych, albo też otrzymać je od osób historyą się zajmujących a posiadających podobne materyały w swoich rękach.

W zarządzie téj komissyi na pierwsze lata obrany został prezesem Jerzy ks. Lubomirski, dyrektorem zaś wydawnictwa professor J. Szujski.

Komissya historyczna obrała sobie najprzód za szczególny przedmiot swojéj pracy trzy mianowicie epoki, pragnąc zebrać przedewszystkiém materyały do historyi wieku XV, do panowania Zygmunta Augusta, wreszcie do wieku XVIII, a to z uwagi na tę okoliczność, że inne epoki znajdą dla siebie materyał w wydawnictwach dawniéj już lub gdzieindziej przedsiębranych jak np. w wydawnictwie Tomicyanów (czasy Zygmunta I), Batoryanów i t. p.

Pierwszym owocem czynności téj komissyi jest książka sporych rozmiarów świeżo przez nią wydana jako pierwszy tom ogólnego zbioru p. t. „Scriptores rerum polonicarum” (Kraków 1872), a obejmująca Dyaryusze Sejmów koronnych 1548, 1553 i 1570 r., które z rękopisów wydał i przypisami objaśnił dyrektor wydawnictwa professor Szujski. Tym sposobem jest to dopełnienie dyaryuszów sejmowych z czasów Zygmunta Augusta, wydanych dawniéj przez hr. Działyńskiego i hr. Wł. Krasińskiego (w Warszawie), dopełnienie przynajmniéj częściowe, bo zawsze jeszcze brakuje takichże dyaryuszów z lat 1550, 1552, 155⁶/₆ 1564, 1566, 1567 i 1572. Z wydanych obecnie trzech, dyaryusze z r. 1553 i z 1570 pochodzą z c. k. tajnego archiwum w Wiedniu, gdzie je znalazł wydawca i z pozwoleniem władzy skopiował r. 1869, trzeci zaś z sejmu piotrkowskiego r. 1548 zestawiony jest ze spółczesnego rękopismu będącego własnością JW. Łaskiego w Warszawie, kopii z XVII wieku przechowanéj w bibliotece Kórnickiéj hr. Działyńskiego i z wyimków w Pamiętniku Sandomierskim t. II drukowanych.

Ważną część tego pierwszego tomu stanowią przypisy i objaśnienia pełne erudycyi podane przez prof. Szujskiego. Co do obszerności zajmują one połowę całéj książki, a oparte są bądź na znajomych już źródłach historycznych, bądź też na dokumentach dotychczas nieznanych i tym sposobem po raz pierwszy na świat w druku wychodzących.

Pióru fachowemu pozostawiam szczegółowy rozbiór i ocenienie tego dzieła; nie mogę się jednak wstrzymać od zrobienia téj uwagi, że komissya historyczna wydaniem tego pierwszego tomu uczyniła krok wiele na przyszłość dla całéj jéj pracy rokujący i zaszczytne dający świadectwo jéj dotychczasowym usiłowaniom i trudom. Kto wie, jak są ważne dla historyi polskiéj obrady publiczne za czasów ostatniego Jagiellona odbywane, pod które wnoszono tyle kwestyj dla współczesnych i następnych pokoleń tak wielkiego znaczenia, ten łatwo zrozumie, o ile przysporzenie materyałów w tym rodzaju przyczynić się może do rozjaśnienia dziejów, zwłaszcza jeśli te materyały opatrzone są przypisami tak dokładnemi i tyle nieznanych rzeczy zawierającemi. Głównym przedmiotém wszystkich tych obrad sejmowych w ciągu panowania Zygmunta Augusta było przeprowadzenie praw Rzeczypospolitéj, czyli tak nazwana ekzekucya praw, która pod tą ogólną nazwą obejmowała wiele różnych a ważnych zmian, jakie poczyniono w tych czasach w wewnętrzném urządzeniu państwa i wzajemnym do siebie stosunku stanów Rzeczypospolitéj.

Pojawiła się jeszcze druga książka podobnego rodzaju w Krakowie, która również powiększa materyał do historyografii polskiéj. Dr. Ludwik Gumplowicz wydał w tych dniach „Korrespondencyę między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim łowczym koronnym”. Wydarzenia r. 1768 od końca Maja do połowy Listopada są przedmiotem téj korrespondencyi.

Branicki wysłany przez króla na południe z wojskiem komputowém, działając wspólnie z generałem rossyjskim Kreczetnikowem, zdobył Bar i konfederatów z ich dowódcami Ignacym Potockim tudzież Starostą Wareckim i jego synami zmusił do ustąpienia za Dniestr i szukania schronienia na ziemi tureckiéj. Odtąd przez kilka miesięcy zadaniem Branickiego było strzedz granicy i nie dozwalać na nowe wtargnięcie konfederatów, jako też z drugiéj strony nakłaniać Turcyę do wydania albo wydalenia ich ze swoich granic. Zadanie to było dosyć trudne, bo bardzo łatwo było wojując z konfederatami, zawikłać się w wojnę z Portą ottomańską, która ich popierała. Król też nie przestaje w swych listach ostrzegać o tém Branickiego. Skończyło się na tém, że Turcya w Listopadzie tegoż roku wydała wojnę Rossyi.

Listy z obu stron pochodzące, tak od króla jak i od Branickiego, nie są żadnemi raportami albo też instrukcyami. Widać z nich, że króla i jego regimentarza łączy stosunek ściśléj i szczeréj przyjaźni. Branicki pisał osobne doniesienia o swych działaniach do komissyi wojskowéj, któréj udzielał tych tylko i tylu wiadomości, o ile chciał i uważał za potrzebne. Dla króla jest on całkiem otwarty i szczery — zwierza mu się ze wszystkiemi swemi zamiarami, wyjawia mu wszystkie plany. Podobną szczerość widać także w korrespondencyi królewskiéj, a ztąd listy te dają nam wierny obraz owych wypadków i wykrywają nieraz najtajniejsze sprężyny jako też myśli, z któremi nie wychodzono bynajmniéj na jaw przed dyplomatami w stolicy. Obaj piszący udzielają sobie przytém nawzajem rozmaitych wiadomości, mogących wpłynąć na ich dalsze postępowanie i kierunek ich działania. Niemałego interesu dodaje także téj korrespondencyi nie zwykła szczegółowość tych doniesień. Branicki np. pisze do króla nietylko o ruchach swego wojska, o stoczonych utarczkach i t. p., ale bardzo często o zachowaniu się lub odznaczeniu pojedynczych oficerów lub towarzyszy pod jego komendą zostających. W podobny sposób charakterystyczne są nader doniesienia, które mu król czyni, o osobistym stosunku do niego rozmaitych osób w kraju, mniéj albo więcéj dla niego przychylnych, a nieraz nawet całkiem nieprzyjaznych.

Dr. Gumplowicz, jak czytamy we wstępie, posiada jeszcze więcéj rękopiśmiennych materyałów do historyi wieku XVIII, które otrzymał z tego samego źródła co wydana przez niego „Korrespondencya". Nie można wątpić, że z czasem i one zostaną ogłoszone.

Do ważniejszych publikacyj u nas należy także pismo zbiorowe „Na Dziś". Pierwszy tom jego macie już podobno w Warszawie; o drugim, który właśnie w tych dniach opuścił prassę, chcę przeto kilka słów napisać. W ogóle można powiedzieć, że doborem i rozmaitością artykułów pismo to zaszczytnie się wyszczególnia pomiędzy produktami naszéj prassy podobnego rodzaju. W tomie drugim znajdujemy dalszy ciąg pamiętników Dr. Józefa Franka, zawierających wiele wiadomości do historyi b. Uniwersytetu Wileńskiego i miasta Wilna. Studyum socyologiczne p. Limanowskiego: Plato i jego Rzeczpospolita, rozpoczyna bardzo pochlebnie szereg rozpraw, w których autor zamierzył sobie przedstawić rozmaite teorye i systemy, jakie w różnych czasach, myśliciele i filozofowie podawali o urządzeniu polityczném i społeczném narodów. Życiorys Platona i główne zasady jego filozofii i jéj wpływ na cywilizacyę skreślone są szczególnie podług Grotego i Drapera, i to w sposób nader jasny i przystępny. Rozbiór jednego z dyalogów Platona: „Rzeczpospolita czyli co jest sprawiedliwość" (przetłómaczonego dotąd w trzeciéj części przez A. Bronikowskiego) stanowi naturalnie główny przedmiot całéj rozprawy. Pojęcia Platona o utworzeniu doskonałego, idealnego państwa znane są czytelnikom „Wieńca" z pięknéj rozprawy p. Kaszewskiego, niedawno w waszém piśmie drukowanéj. P. Limanowski streszcza dokładnie dziewięć ksiąg Rzeczypospolitéj, idąc w ślad za główniejszemi myślami jéj autora. Zdaje mi się jednak, że streszczenie to wypadło cokolwiek za sucho, a szczególnie nazbyt przedmiotowo, kiedy właśnie należałoby się spodziewać jakiegoś krytycznego rozbioru podawanych przez Platona teoryj. Najwięcéj ucierpiała na tém najgłówniejsza część dyalogu, to jest ta, w któréj Plato kreśli wzór swojego idealnego państwa i podaje sposoby jego utworzenia. Z rozprawy p. Limanowskiego, mianowicie z tego co o księdze piątéj dyalogu powiedział, nie można nabrać wyobrażenia, za pomocą jakich środków chciał Plato takie doskonałe państwo utworzyć.

Z wielkiém zajęciem czyta się monografia Dr. Liskiego „Kobiety historyczne", któréj drugi rozdział w tym drugim tomie umieszczony kreśli w malowniczy, nieraz anegdotyczny sposób charaktery i losy dwóch królowych, nierozłącznych od siebie w pamięci i wyobraźni ludzkiéj: szkockiéj Maryi i angielskiéj Elżbiety. W trzytomowéj pracy Juliusza Gautier'a i w książce Jana Scherra pisanych o historyi tych dwóch kobiet, znalazł p. Liske obrobiony już i gotowy materyał do swéj monografii. Korzystał z niego umiejętnie; opierając się na obcych pracach, przedstawił zwykły nieraz ze strony dotąd nie znanéj, tłómacząc np. powody owéj popularności, jakiéj używała królowa Elżbieta w Angli, przedstawiając Maryę Stuart nietylko jako kobietę rządzącą się sercem i namiętnościami, ale również jako reprezentatkę pewnéj zasady politycznéj i jako historyczny charakter. Z tém wszystkiém jednak spodziewalibyśmy się od professora historyi raczéj jakiegoś owocu oryginalnych badań i poszukiwań. Obrazki historyczne w rodzaju tym jak „Marya i Elżbieta" należałoby może zostawić wstępującym dopiero na to pole adeptom, albo też dyllettantom posiadającym zdolności zajmującego przedstawiania i gruppowania wypadków przez kogo innego osądzonych lub objaśnionych.

Do działu historycznego należy jeszcze w tym drugim tomie ustęp z piątego tomu „Jagiellonek" A. Przezdzieckiego, tudzież rozprawa W. A. Maciejowskiego. „O kodyfikacyi praw w dawnéj Polsce", t. j. o kodeksach prawa cywilnego ułożonych za panowania Kazimierza W. (statut wiślicki), Zygmunta I. (statut Taszyckiego) wreszcie o projekcie do takiegoż statutu podanym na sejmie 1778 roku przez Andrz. Zamojskiego. Ze wszystkich tych prac kodyfikacyjnych tylko pierwsza zyskała urzędową sankcyę na zjeździe wiślickim.

Obok dalszego ciągu tłómaczonéj powieści Spielhagena: „Naprzód", znajdujemy także oryginalną powieść p. Joz. Tretiaka: „Daniel". Bohater téj powieści jest to człowiek młody, chorujący na zobojętnienie i apatyę do świata (przez co wpadł w tę chorobę, może nam autor w dalszych rozdziałach wytłómaczy, podobnego wypadku przynajmniéj mamy racyę się spodziewać). Zwykle miłość dla tego rodzaju bohaterów wybierana bywa przez powieściopisarza za najskuteczniejsze lekarstwo. Tak też i tutaj. Rekonwalescencya odbywa się jednak cokolwiek za szybko, i boimy się, czyli Hela, córka leśniczego, któréj wypadła rola lekarki, nie będzie figurą zbyt wymanierowaną i ckliwą, i czy stosunek tych dwojga ludzi do siebie przez zbyteczny kontrast ich położenia towarzyskiego i wykształcenia nie będzie zbyt romantyczny. Jedna szczególnie scena, gdzie Daniel spotkawszy w lesie Helę pędzącą krowę do domu, zapragnął nagle, aby mu dziewczyna opowiedziała bajeczkę o królewnie na szklanéj górze—wznieciła w nas podobną obawę, choć zresztą należy przyznać, że autor z całą trzeźwością rozpoczął swoją powieść opowiadać.

Przeglądowi artystycznemu pióra p. Ant. Zaleskiego, kreślącemu w pierwszéj połowie rys dziejów rzeźbiarstwa w wieku XIX, a w drugiéj zdającemu sprawę z najnowszych utworów sztuki polskiéj i zagranicznéj, zarzuciłby można chyba nieco optymizmu w sądzeniu młodych naszych artystów, bo zresztą wyczerpuje on przedmiot dokładnie i sumiennie.

Przegląd literacki, obfitszy w tym tomie niż w poprzednim, łącznie z zapiskami bibliografii polskiéj daje dokładny obraz ruchu piśmienniczego. Najabszerniejszy rozbiór (przez Jana ze Śliwina) poświęcony jest nowéj pracy prof. Łepkowskiego: „Sztuka, zarys jéj dziejów" i t. d. Krytyk zgadzając się co do ogólnéj wartości ze zdaniem Kraszewskiego (w recenzyi w „Kraju" ogłoszonéj), który nader pochlebnie o téj książce się wyraził, zarzuca autorowi niestosowny podział przedmiotu, przez co jedne i też same rzeczy po dwa a nawet trzy razy się powtarzają, ganianie się za poetycznym stylem, przez co wpada nieraz w przesadę, a wreszcie w szczegółach a mianowicie w żywotach artystów i w wykazie krajowych zabytków sztuki wytyka wiele niedokładności.

Oprócz wymienionych wyżéj, jest jeszcze w tym drugim tomie kilka innych poważnych artykułów, jak: życiorys Dr. J. K. Szlachtowskiego przez K. Estrejchera, Rzecz o obchodach weselnych ludu w Polsce i na Rusi przez O. Kolberga Spór botaników: Dla czego korzeń rośnie na dół a łodyga do góry przez E. G., i dalszy ciąg rozprawy ekonomicznéj: Drogi handlu zbożowego przez J. N. Sadowskiego.

Przejrzawszy to wszystko, widzę, że miałem słuszność mówiąc na początku, że jest w tém piśmie rozmaitość i dobór artykułów.

Księgarz Himmelblau wydał drugą edycyę Grammatyki języka polskiego dla użytku szkół elementarnych ułożonéj przez Władysława Lercla na podstawie grammatyki Małeckiego. Głównym też celem téj książki jest ujednostajnić naukę języka polskiego, i już w początkowych szkołach podawać tę zasady, które potém w gimnazyach i innych średnich szkołach na szerszy rozmiar i z większą gruntownością wykładane są młodzieży z grammatyki Małeckiego.

Taż sama księgarnia zapowiada również wydanie Historyi Literatury Polskiéj przez Dr. K. Mecherzyńskiego. Długoletnia praktyka w zawodzie professorskim jakoteż znajomość dokładna naszego piśmiennictwa, którego historyi autor już niejedną ważną pracą się przysłużył, każą się spodziewać, że będzie to książka, jakiéj, prawdę powiedziawszy, dotąd zawsze brak uczuwać się daje—dobry, gruntowny i sumiennie napisany podręcznik. Wreszcie Himmelblau pomyślał także o wydawnictwie, które z przyjemnością będzie zapewne przez wszystkich powitane: o nowém, podobno uzupełnionem wydaniu poezyj Edmunda Wasilewskiego.



4-ty Koncert Towarzystwa muzycznego. — Koncert na dochód niezamożnych studentów Uniwersytetu. — Koncert panny Florentyny Friedenthalówny. — Koncert pana Adolfa Kozieradzkiego. — Koncert na dochód panów: Tatarkiewicza i Grzywińskiego. — Bilse. —

Zbyt tłumnie koncerty teraz pomiędzy sobą się wyścigają, żeby można było w każdym z nich znaleźć tę doniosłość, jakiéj się po koncercie wymaga. Habit nie czyni mnicha,—równie też najstaranniéj wydrukowany program, zapełniony nazwiskami najznakomitszych kompozytorów, nie zdoła zastąpić słuchaczom tego czego się po koncercie koniecznie oczekuje.

Niedawno jeden z moich znajomych wziąwszy ze stołu arkusz papieru, po wszystkich domach przez Dobroczynność rozsyłany z napisem u góry wielkiemi niebieskiemi literami: „Kwesta wielkanocna", zrobił następną uwagę. „Ten afisz za najszczerszy uważam. Dąży on prosto do celu: nie kłamie, nie łudzi obietnicami fałszywemi, nie wzrusza szanownych prochów Bachów i Beethovenów, nie skazuje na kilka godzin poziewania i w końcu nie zmusza do nieszczerych oklasków. Dla czego niektórzy koncertanci—dodał mój znajomy—nie używają tego szczerego sposobu bez uciekania się do nielitościwego dręczenia muzyką swych ofiarodawców? Afisze z programami niechaj by pozostały tylko do użytku prawdziwych artystów." Zdanie to mego znajomego jest nieco dziwaczne, ale niezupełnie bezzasadne. Zresztą odbiegliśmy od przedmiotu więc przejdźmy do rzeczy na porządku będących.

Towarzystwo muzyczne w dniu 24 Kwietnia wystąpiło z czwartym swym koncertem, w którym główną rolę grał przejeżdżający przez miasto nasze fortepianista Alfred Jäell. Artysta ten rodem z Turynu, jakkolwiek do plejady pierwszorzędnych wirtuozów nie należy, niemniéj jednak posiada rozległą sławę biegłego fortepianisty i od lat kilkunastu rozgłosem swych koncertów obie półkule napełnia. I istotnie jest to dobry fortepianista. Tylko równie w grze swojéj jak i w kompozycyach, któremi jak z za rękawa sypie, wcale płytko sztukę traktuje. I nie zbywa mu na środkach materyalnych, bo mechanizm ma niepospolity, ale jest to salonowiec gotów wszystko dla elegancyi i mody poświęcić. Podobne usposobienia a raczéj zboczenia we wszystkich gałęziach sztuki się spotykają. Są malarze poświęcający myśl i prawdę dla jaskrawości kolorytu lub dla wdzięcznego kształtu linii; są pisarze starający się tylko o ogładę stylu i tak zwaną przyzwoitość wyrażeń, nie dbając o to, że pod tą powierzchnią wypolerowaną przerażająca czczość się zawiera. Otóż i Jäel do takich *przyzwoitych* artystów należy. Elegancya u niego idzie przed myślą, przyzwoitość przed prawdą. Wykazania siły, namiętności lub energii starannie unika z obawy, żeby go nie posądzono o rubaszność lub złe wychowanie. To też i gra jego żadnéj w słuchaczu myśli poważnéj ani głębszego uczucia nie rozbudza. Słucha się jéj z takiém samém wrażeniem, z jakiém się opatruje ładne cacko do żadnego użytku nie przydatne. Ze wszystkich kompozycyj granych przezeń na tym koncercie najbardziéj się nam podobało wykonanie „Waryacyj" Haendla. Drobiazgowość w stylu, lekkość i dowcip w układzie całego tego utworu wcale się dobrze do gry Jäella nadały. „Koncert" (A miek.) Schumana nie zadowolnił nas wcale. Trudno bowiem i wymagać nawet, żeby gra Jäella, taka jakąśmy ją określili, zdołała podążyć za bujną, oryginalną a niekiedy aż do zuchwalstwa fantastyczną wyobraźnią Schumana. Wysilał się wprawdzie Jäell, o ile mu sił starczyło, na udawanie głębokości, powagi i zamaszystego polotu ducha, lecz kostium ten zapożyczony tak niezręcznie przylegał do jego figury, że pod szatą poetyczną białe rękawiczki i lakierki łatwo się dostrzedz dawały. Utwory Chopina grał nieznośnie, bo potężnego malarza zniżył do roli salonowego miniaturzysty łapiącego drobniutkim penzelkiem wypłowiałe uśmiechy kokietek. Przed rozpoczęciem każdego numeru Jäell ma zwyczaj robić krótką przegrywkę, składającą się z kilku akordów, lub najczęściéj, z kilku biegników. Przegrywki te mogą służyć najlepiéj do utworzenia zdania słuchacza o wartości jego artystycznéj. Zwykle przegrywka taka powinna być, jeżeli nie prologiem, to przynajmniéj odźwiernym roztwierającym kompozycyi podwoje do umysłu słuchacza i anonsującym wejście przybysza. U Jäella jest ona zupełnie niczém i zgoła nie jest lepszą od tego brzdąkania bezmyślnego, jakiego używają amatorki przed rozpoczęciem swego śpiewu. Do programmu z rzeczy poważnych składającego się wplótł Jäell jednę ze swoich kompozycyj, któréj nie tylko na koncercie, lecz nawet w porządnym salonie zagrać by nie wypadało. Była to transkrypcya chóru z „Tanhäusera." Rzecz to ułożona sprytnie pod względem mechanicznym i trudna wcale do wykonania, ale i cienia myśli jakiejkolwiek ze świecą by się tam nie znalazło. Prawa ręka bezustannie się tam awanturuje w szybkich łamańcach i biegnikach, a lewa utrzymuje jednocześnie trzy warstwy, to jest: motyw, tony średnie i bas. Nie dziwimy się, że recenzent „Gazety Polskiéj" za złe miał Komitetowi Towarzystwa muzycznego iż taką ramotę pozwolił do programu dołączyć, lecz za to zdziwiła nas odpowiedź na ten zarzut sprawozdawcy „Tygodnika Illustrowanego" który oryginalnie tłómaczy powód zezwolenia tegoż Komitetu na zamieszczenie téj transkrypcyi w programie koncertu. Powiada on, że kiedy pan Jäel podał do programu cztery inne kompozycye dobre, to niewypadało mu odmówić zamieszczenia piątéj lichéj. A zatém redaktor umieściwszy w swém piśmie cztery dobre artykuły jakiego autora, powinien umieścić i piąty, chociażby ten był nic nie wart, albo był w złym kierunku napisany? Konsekwencya ta nie zbyt silnie zbudowana.

Na tymże koncercie popisywał się pan Izydor Lotto (starszy). Wyborny to skrzypek posiadający przy innych wielu zaletach ton piękny i silny, który tak rzadko nawet u bardzo dobrych skrzypków spotkać się zdarza. Grał on śliczny „Koncert" (Nr. 17) Viotti'ego, do którego dorobił własną kadencyę. Kadencya ta jest w duchu całéj kompozycyi, z bardzo dobrym smakiem i umiejętnie ułożona. Motyw główny Viotti'ego jak przez mgłę z niéj przegląda. Brawura ją całą oblekająca nadaje jéj pewną barwę nowożytną i cokolwiek z Viottim sprzeczną, ale nie jest wcale naganną, gdyż kadencya jest polem zostawioném umyślnie do popisu indywidualnego egzekutora z tém tylko zastrzeżeniem, żeby na tle przez kompozytora osnutém się rozwijała. Zarzutu więc pod tym względem przez „Tygodnik Illustrowany" zrobionego, za słuszny uważać nie można. Nie pojmujemy tylko jak taki porządny skrzypek, jakim jest pan Lotto, mógł się zdecydować na wykonanie takiéj fatałaszki jak „Le Streghe" Paganiniego, chociaż ją wykonał znakomicie. Że Komitet przeciwko temu nie zaprotestował, to po zezwoleniu na transkrypcyą Jäella było bardzo naturalném.

Śliczna „Symfonia" (G miękkie) Mozarta przez orkiestrę wykonana, koncert ten rozpoczęła. Szkoda tylko, że wykonanie jéj było słabém i bezbarwném. Nieporozumienie trąbek w Menuecie i wiele innych niedokładności przykro słuchacza raziło.

Oprócz duetu z „Jessondy" przez panią Dowiakowską i pana Filleborna porządnie odśpiewanego, pani Dowiakowska wykonała aryą z „Wilhelma Tella." Zbyteczną rzeczą byłoby mówić, że z trudności mechanicznych w niéj zawartych zwycięzko się wywiązała, równie jak niewłaściwemi ozdobami kaziła charakter utworu. Pozwalamy sobie wątpić czy za tryl na końcu użyty Rossini byłby jéj wdzięcznym. Ale zbyt długośmy się na tym koncercie zatrzymali czas go już więc opuścić.

Koncert braci Wieniawskich był już zapowiedziany i wyglądaliśmy go z ciekawością lecz, niestety, nie przyszedł do skutku.

W dniu 30 Kwietnia odbył się koncert na dochód niezamożnych studentów uniwersytetu. Słyszeliśmy tam znowu fantazyą pana Wł. Żeleńskiego pod tytułem „W Tatrach", o któréj już w swoim czasie wspominaliśmy. Bardzo też piękny i zajmujący był marsz z „Hamleta" Moniuszki na orkiestrę napisany, w którym chór dętych instrumentów przeważną gra rolę. Pan Władysław Ostrowski, skrzypek z orkiestry teatralnéj, grał dwie kompozycye: „Barkarolę" Spohra i „Morceau de salon" Vieuxtemps'a. Jest to skrzypek dobry i bardzo w muzyce zbiorowéj pożądany, lecz na solistę koncertowego zbyt mało warunków posiadający. Wybranie dokładne wszystkich nut czysto i właściwym sztrychem nie jest do gry solowéj dostateczném. Potrzeba oblec kompozycyą we właściwy charakter, wycisnąć na niéj piętno myśli i uczucia; bez tego gra solową być nie może. Pan Ostrowski zaś chociaż poprawnie pod względem technicznym, lecz tak bezbarwnie i obojętnie wszystko wykonywa, że słuchacz mimowolnie siebie zapytuje: jak ten egzekutor chce w słuchaczach wzbudzić wrażenia, kiedy sam żadnych nie doznaje. Uczucie tylko uczuciem się wywołuje. Ripienista z pana Ostrowskiego jest wyborny, lecz solista—żaden. Dwie kompozycye na fortepianie wykonał pan Zarzycki.

Panna Miller-Czechowska śpiewała: „Modlitwę dziewicy" Mercadantego i „Gwoździk" pana Rożnieckiego. Druga część, tak zwanéj „Modlitwy" bynajmniéj modlitwy nie przypomina. Czyżby dziewice tak trzpiotowato się modliły? Muzyka do „Gwoździka" musiała być chyba początkowo do innych słów napisaną. Pomyślana i ułożona jest po włosku i tak do „Gwoździka" przystaje, jak kontusz do Włocha, lub turban do Szweda. Pan Filleborn powtórzył znane już a śliczne dwie piosnki pana Żeleńskiego. Pani Modrzejewska znowu niefortunny wybór zrobiła deklamując „Anioła Stróża" Odyńca. Jest to wiersz piękny, ale wcale nie do deklamacyi.

Panu Królikowskiemu bogatą kopalnię dostarczyło ukończone obecnie kompletne wydanie poezyj Syrokomli. Właśnie z tego zbioru deklamował „Trzy gwiazdy" a wypowiedział je z tém

drobiazgowém wycieniowaniem prostoty i szczerości uczuć jak to on umie, kiedy potrzeba.

Obowiązek kronikarski nakazuje wspomnieć o koncercie panny Florentyny Friedenthalówny w dniu 4 Maja. Ale ograniczymy się na samém zaznaczeniu faktu, gdyż fakt ten w dziedzinie sztuki żadnéj nie ma doniosłości. Co sztukę obchodzić może taki lub inny postęp w kształceniu się jakiéjś elewki? Krytyka pod tym względem mówić o tém powinna co się dzieje *in actu* nie zaś *in potentia*. Moglibyśmy wszystkie szpalty pisma naszego zapełniać samemi sprawozdaniami z postępu mnóztwa zdolnych elewek, nawet nie mniéj zdolnych od panny Friedenthalówny, lecz na coby się to zdało? Będzie na to wtedy dość czasu, kiedy się już zupełnie wykształcą. *(d. n.)*

PORTY MIASTA ODESSY.

Dla większéj liczby czytającéj publiczności interesującémby było, jak mniemamy, widzieć jak wygląda to miejsce, dokąd ze wszystkich okolic zachodnio-południowego kraju, a tém samém i z żyznego Podola, dostaje się owa złocisto-kłosa pszenica.

Powodowani tą myślą podajemy w załączonych tu drzeworytach ogólny widok portów Odessy. Już od lat sześćdziesięciu kilku otwierają one gościnne wrota dla naszych płodów rolnych, które naładowane na okręty dążą zaopatrywać w chleb powszedni kraje zamorskie.

Historya portów Odessy, jak jéj saméj, tak jest niedawna, iż da się skreślić w kilku wierszach.

W r. 1794, uboga, na wpół dzika wioska tatarska Hadżybej, szturmem wzięta była pospołu z zamkiem tureckim przez rossyjskiego generała Ribasse'a, a w pięć lat późniéj z rozkazu Cesarzowéj Katarzyny II przemieniona została w miasto Odessę.

Dogodne geograficzne położenie miasta tak pod względem promienia sąsiednich żyznych miejscowości jak i zetknięcia się z morzem, zwróciło na się uwagę rządu, który po zdobyciu Noworossyi i Krymu właśnie upatrywał najdogodniejszego miejsca dla urządzenia portu na brzegach morza Czarnego. Po długich poszukiwaniach i naradach przekonano się, iż Odessa posiada ku temu odpowiedniejsze warunki niż Cherson i Mikołajów. Projekt więc przez vice-admirała Ribasse'a w celu urządzenia portu w Odessie ułożony pospołu z inżynierami Volanem i Szostakiem, poparty został przez generał-gubernatora ekaterynosławskiego i taurycкiego hr. Zubowa, a 27 Maja 1794 r. najwyżéj zatwierdzony przez Imperatorową Katarzynę II.

Widok portów, tak jak są podane w drzeworytach, wzięty jest z miejscowego bulwaru, a zatém z wysokości 108 stop nad powierzchnią morza. Z bulwaru do morza prowadzą olbrzymie granitowe schody o 200 stopniach. Budowa ich zaczęta w Maju 1837 roku a ukończona w r. 1842. U podnoża schodów zbudowano w r. 1857 kaplicę („czasownia") na pamiątkę założenia miasta, i w dzień rocznicy odbywają się tu processye z cerkwi do miasta; wewnątrz ozdobiona jest obrazami przysłanemi z różnych miast Rossyi.

Stanąwszy więc na wierzchołku schodów, naprzeciw mamy cerkiew i morze, po obu zaś stronach porty. Leżący po lewéj zwie się portem *praktycznym* i służy za przystanie dla okrętów rossyjskich kursujących pomiędzy portowemi miastami ruskiemi. Po prawéj stronie leżący zowie się *kwarantannowym*. Ten ostatni daleko jest większy od *praktycznego* i nierównie więcéj może pomieścić okrętów. Tu przybijają wszystkie okręty z za granicy, tu się wsiada wyjeżdżając za granicę i tu doprowadzona jest koléj żelazna od towarowéj stacyi odeskiéj, kędy co pół godziny widzieć można przesuwające się długie pociągi towarowych wagonów, z których tu wyładowują na parostatki worki ze zbożem, paki i t. p.

Port *kwarantannowy* ciągle się rozbudowuje, t. j. rozszerza i przedłuża. Robota idzie nadzwyczaj szybko, bo ręce ludzkie zastępują tu machinami, za pomocą których spuszczają na dno morskie kilkołokciowe kwadratowéj grubości kamienie; z tych układa się ściana żądanéj szerokości i długości, która zasypana gruzem i żwirem staje się lądem stałym. Głazy używane do téj roboty nie są bynajmniéj naturalne, ale dziełem rąk ludzkich pracujących w przyległéj fabryce. Wiadoma ilość piasku morskiego zmieszana z cementem, wodą i innemi jakiemiś ingredyencyami, rozrabia się w massę, nalewa w przygotowane formy i wystawiona przez czas jakiś na działanie atmosfery nabiera twardości prawie wyrównywającéj żelazu. Następnie odejmuje się forma i gotowe kamienie naładowują się w wagony, które je dostawiają na miejsce przeznaczenia. Z takich samych sztucznych głazów zbudowano cały wspaniały Port-Said przy wejściu do kanału suezkiego.

O porcie *praktycznym* nic prawie nie znajduje się do powiedzenia, témbardziéj, iż podając *ogólne widoki portów*, ograniczamy się tylko na pobieżnym powierzchownym ich opisie, nie wchodząc w rozpatrywanie szczegółów każdego. Przy porcie *praktycznym* rzędem poustawiane są łazienki, które od połowy Maja tłumnie nawiedzane bywają przez miejscowych i przyjezdnych. W roku zaprzeszłym sprowadzono ztąd rurami, po pod drogą żelazną, przez ogród dolny, na bulwar wodę do skrapiania ulic. W miejscu gdzie stoi latarnia (patrz pierwszy drzeworyt), na końcu bulwaru, przy domu księżnéj Woroncowéj, urządzono pompę dla tego użytku.

Witold Chłopicki.

DALEKOWIDZ I KRÓTKOWIDZ.

Za pomocą zestawienia przeciwieństw dojść pragnie wielu do odszukania prawdy; istotnie prawda stoi po środku między ostatecznościami. Nie przeszkadza to wcale, aby takie kontrasty nie były dowcipne w pomysłach, a oparte na trafném dostrzeganiu znamion wyrazu i życia. Takie trafne dwa pomysły stawiamy obecnie przed oczy czytelników naszych. Dalekowidz lubi polowanie, bo to wypada z natury jego wzroku—krótkowidz w książkach się zagłębia; idzie za tém i w dalszym ciągu duchowy nieraz obszerniejszy lub ciaśniejszy pogląd na rzeczy świata tego, który także niczém inném nie jest jak umiejętnością obejmowania mniéj lub więcéj obszernego widnokręgu duchowego. Dalekowidza też widzimy zajętego czytaniem dziennika mówiącego treściwie, lecz o wszystkiém, gdy krótkowidz ma być specyalistą pilnie lubo częstokroć jednostronnie wglądającym w obrany przedmiot. Gdzież prawda? którego położenie i stan umysłowy wybrać? Oto prawda po środku stoi. Bez szczegółowych badań nie ma materyału do poglądu ogółowego, jak bez ogółowego poglądu najpilniejsze szczegółowe jednostronne prace będą na sobie nosiły cechę ograniczonego zacieśnienia.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 13 (27) Мая 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.